

M. B.  
L. V.  
Łódź

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5012

I-84213/91 10.01

# Łódź Odgłosy

R. 33 1990 2 podr.  
3892-A

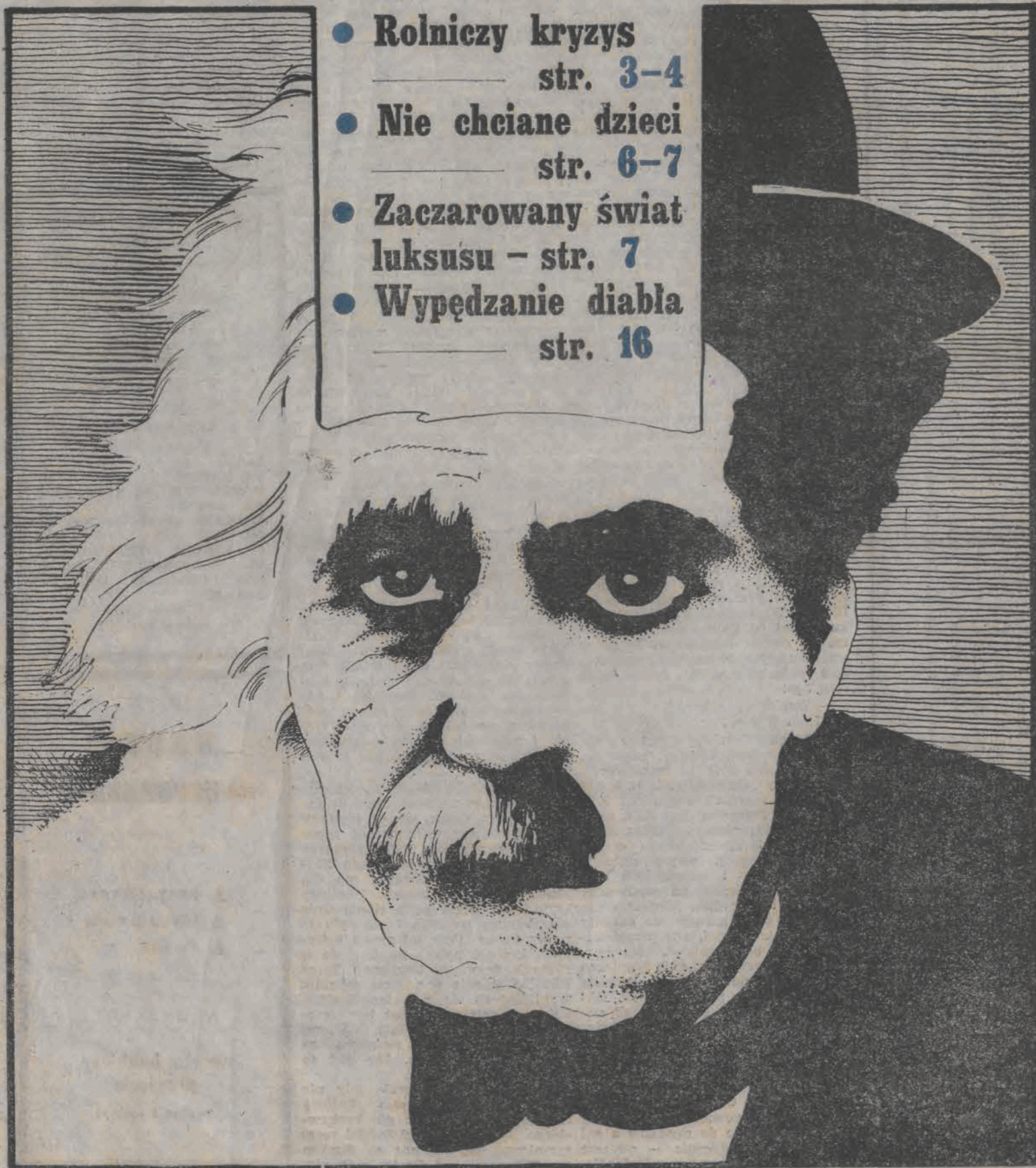
Po drodze do Europy jest Śląsk!  
- czytaj str. 4 i 5

NR 1680 ROK XXXIII

LIPIEC—SIERPIEŃ 1990 R.

CENA 1200 ZŁ

- Rolniczy kryzys  
str. 3-4
- Nie chciane dzieci  
str. 6-7
- Zaczarowany świat  
luksusu - str. 7
- Wypędzanie diabła  
str. 16



Rys. Dariusz Romanowicz

## Smuga cienia między sąsiadami

Przez długie lata przyjmowałem argument o bezpiecznych granicach, którym posługiwali się politycy i propagandyści, bez głębszego zastanowienia. A przecież powinienem był zastanowić się spędzając wakacje w 1954 roku w Dziwnowie, dlaczego żołnierze WOP tak starannie bronują wieczorami nadmorską plażę? Później zaprzestano tego — na szczęście — ale i dziś nie jest znów tak łatwo przekroczyć granicę państwową w Europie Wschodniej i biedni turyści całymi dniami wyczekują na przejściach granicznych. W uchwalonej już w grudniu 1948 roku „Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka” powiada się w Artykule 13, że „każdy człowiek ma prawo swobodnego poruszania się i wyboru miejsca zamieszkania w granicach każdego Państwa” oraz że „każdy człowiek ma prawo opuścić jakikolwiek kraj, włączając w to swój własny, i powrócić do swego kraju”. W teorii wszyscy się z tymi prawami godzą, ale w praktyce stosuje się takie przepisy i ograniczenia, że staje się to nie zawsze możliwe. Ostatnio nowe władze Lwowa zdecydowanie ograniczyły możliwość poruszania się turystów po tym mieście.

Mogłoby się wydawać, że najbardziej bezpieczną granicą jest wybrzeże morskie, ale to też tylko teoria. Jak wiemy z licznych komunikatów w różnych miejscowościach naszego wybrzeża obowiązuje zakaz kąpiel, gdyż można z powodu zanieczyszczeń wody morskiej dostać w najlepszym razie bolesnej wysypki.

Pozostałe granice naszego państwa uważane były za granice przyjaźni. Dziś też się wiele mówi o bratnich narodach Litwy, Białorusi, Ukrainy, Słowacji i Czech. Swego czasu z tych granic pokoju groziła nam „braterska pomoc” wojsk Układu Warszawskiego. W 1981 roku krążył po Polsce dowcip o rozmowie dwóch radzieckich żołnierzy stacjonujących w ostrym pogotowiu nad polską granicą. Jeden pyta drugiego:

— Wasia, ty wiesz, kto to jest ten Lech Wałęsa?

— Nikak Saszka, zupełnie nie wiem, ale wiem, że przez niego już drugi tydzień śpię w mundurze.

Jak pisze Gabriel Meretik w książce „Noc Generała” w grudniu 1980 roku CIA, Pentagon oraz NSA (wywiad elektroniczny) dostarczyły Zbigniewowi Brzezinskiemu dowodów koncentracji wojsk radzieckich, czeskich i niemieckich nad polskimi granicami na wschodzie, południu i zachodzie. Inwazja nie nastąpiła, ale i granice nie okazały się ani pokojowymi, ani przyjacielskimi, ani bezpiecznymi. Na bezpiecznych i przyjacielskich granicach nie buduje się zasieków, broni plaż, jezior nie przegradza się stalowymi siatkami. Przyjaźniostwo stawieni do siebie sąsiedzi odwiedzają się bez przeszkód i utrudnień i nie czają się po lasach, aby u sąsiada zaprowadzić sobie miły porządek.

Tak było. Czasy się zmieniły i dziś można powiedzieć, że mamy inne nastawienie do sąsiadów a oni do nas. Teoretycznie — owszem. W praktyce bywa z tym różnie. Po-

lacy swoją megalomanią i arogancją nie wzbudzają nigdzie sympatii i trudno się temu dziwić. Naszym turystom — tym Bogu ducha winnym również — daje się do zrozumienia, że Polacy są niepożądanymi gośćmi w wielu krajach. Stałiśmy się „Feticjanami współczesnej Europy”, a „wieść gminna niesie”, że dołączyliśmy również do grona tych narodów, którzy jak Włosi, Turcy, Grecy i inni zasłynęli z organizowania grup przestępczych w wielu krajach różnych kontynentów. Dajemy coraz więcej powodów do tego, aby nas nie lubiano i nie szanowano. Do siebie więc przede wszystkim miejmy pretensje!

Ale rzeczywistość współczesna Europa zmieniła się radykalnie na przełomie 1989 i 1990 roku i zmienił się również problem granic. Oto na przykład w jednoczących się Niemczech ludzie nagle uswiadomili sobie, że na zachodzie mają za sąsiadów Francuzów, na północy Holendrów i Belgów, i że to dotyczy wszystkich Niemców, bo przestała ich dzielić sztuczna granica na Łabie. Coś z tego faktu dla polityki zagranicznej zjednoczonych Niemiec wynika. Wprawdzie staramy się o gwarancje naszej granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej, ale z najnowszej historii wynika niezbitnie, że gwarancji udziela się bardzo trudno, ale bardzo łatwo je się też łamie. I żaden polityk nie może o tej prawdzie zapominać.

Ci sami Niemcy znów sobie któregoś dnia uswiadomią, że na wschodzie graniczą z Polską i to nie tylko Niemcy z Saksonii, ale z Bawarii, Hamburga i Nadrenii. A my znów będziemy musieli wyrzucić z pamięci bzdurne twierdzenie, że Niemcy w NRD to są dobrzy Niemcy, a w RFN — źli, rewizjoniści. Teraz Niemcy będą już tylko jedni — zjednoczeni. Zresztą chyba w 1974 roku miałem możliwość przekonać się w dawnym Karl-Marx-Stadt (powróciło do starej nazwy Chemnitz), że też nas tam specjalnie nie lubiano. Jedną z ekspedientek w sklepie sportowym, gdy zorientowała się, że z kolegą rozmawiam po polsku, demonstracyjnie i publicznie odmówiła obsłużenia nas. A podkreśliłam, był to rok 1974!

Na wschodzie mieliśmy nienaruszalną granicę z ZSRR, ale i tu zaszły zmiany. Coraz więcej republik ogłasza swoją suwerenność i zapowiada wystąpienie z ZSRR. Ostatnio taką deklarację przyjęła Rada Najwyższa Ukrainy. Ukraina ma dla ZSRR kluczowe znaczenie. Ukraińcy czynili już wiele prób zbudowania niezależnego państwa i nie były to próby udane. Przy tej okazji ucierpiała ludność polska zamieszkała w różnych rejonach Ukrainy. Teraz Ukraina stanęła w rzędzie republik wybijających się na niepodległość. Fakt ten przeszedł u nas bez szczególnego zainteresowania. Więcej uwagi poświęcamy zmianom za Odrą niż za Bugiem. Nie jest to dobry punkt widzenia.

Aleksander Krawczuk, gdy nie był jeszcze ministrem kultury i sztuki, w wywiadzie dla krakowskiego „Zdania”, wypowiedział rzecz znamieną, że dla nas za Bugiem czy Niemnem jest Rosja, a to nie-

prawda. Tam są: Litwa, Białoruś i Ukraina. Stwierdzenie to nabiera dziś szczególnej aktualności. Już nie graniczymy tylko z ZSRR, ale jednocześnie z Litwą, Białorusią i Ukrainą, a zaniedługo możemy graniczyć przede wszystkim z Litwą, Białorusią i Ukrainą. I znów politycy nie mogą o tym zapominać.

Z sąsiadami trzeba się ułożyć po sąsiedzku. Ale, aby to się stało faktem, trzeba przede wszystkim, prawdziwie i do końca wyjaśnić zawołoci dotychczasowych stosunków, powiedzieć prawdę o przeszłości. Przede wszystkim dlatego, że kładzie się ona cieniem na teraźniejszości. A bez wyjaśnienia przeszłości nie zbudujemy dobrych stosunków sąsiedzkich na przyszłość.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca, zastrzega sobie prawo do skracania i zmiany tytułów.

Adres redakcji: 90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza nr 3/5, tel. 36-52-44.  
Wydawca: Dziennikarska Spółdzielnia Pracy „Odgłosy”, na podstawie umowy z Łódzkim Wydawnictwem Prasowym RSW „Prasa — Książka — Ruch”, Łódź, ul. H. Sienkiewicza 3/5.

Druk: Prasowe Zakłady Graficzne, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Numer przygotowali, opracowali i redagowali: Grzegorz Gabalski (fotoreporter), Andrzej Gębarowski, Magdalena Grochowalska, Konrad Frejlich, Jacek Indelak, Jan Janiak, Marek Juszkiewicz, Mariola Knaga (korekta), Janusz Kozłowski (redaktor techniczny), Beata Kostorzewska-Jamroz, Bogda Madej, Bogumil A. Makowski, Grażyna Olechnowicz (sekretnarz redakcji), Ewa Ostrowska, Dariusz Romanowicz (grafik), Jolanta Sawiuk (korekta), Leszek Sługocki, Janusz Szymański-Glanc (grafik), Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny).

Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

ZUPH

EGAR

98-100 Łask  
ul. Narutowicza 42  
telefon 23-62, 44-76  
PIECZĄTKI  
DLA KAŻDEGO!!!  
▲ SZYLDY  
▲ REKLAMY  
▲ METKI  
SUPEREKSPRES

Punkty przyjęć:  
ŁÓDŹ, ul. Narutowicza 45  
tel. 31-93-92.  
PABIANICE, ul. Cicha 53/6  
tel. 15-86-16.  
WIELUŃ, ul. 18 Stycznia 39,  
tel. 53-33.  
PIOTRKÓW TRYBUNALSKI,  
ul. Zamenhofska 3/57, bl. 29  
przy Rolniczym DH, tel.  
48-11-89.

U producenta  
zawsze taniej!!!

11/7

HOTEL  
„HADES”  
ZAPRASZA

U NAS  
ELEGANCKO  
I TANIO

▲ RESTAURACJA  
▲ DISCO-DANCE  
▲ TV SAT

Tel. 13-22-57

ANDRESPOL

wesela, bankiety,  
przyjęcia  
(wolne terminy)

4/7

## Inna wersja śmierci Roberta Geyera

W tekście Magdaleny Grochowalskiej pt. „Byli ze wszystkimi” podano datę zastrzelenia Roberta Geyera w listopadzie 1939 roku. Nie może to być prawdą. Pierwsze aresztowania Polaków w Łodzi i umieszczenie ich w przygotowanym obozie na Radogoszczu miały miejsce 12 grudnia 1939 roku. Nas aresztowano 13 grudnia 1939 roku. Być może Robert Geyer przeciwko tej akcji protestował, bowiem zastrzelono go 12 grudnia 1939 roku. Zastrzelił go Schupo — Schutzpolizei, a nie gestapowiec. Gestapo — to Geheim Staatspolizei. Nas też aresztowali schupowcy.

Ojciec mój, który wbrew wielkiemu ryzyku powrócił na jeden dzień do Łodzi, przywiózł wiadomość, iż Robert Geyer został zastrzelony za to, że sam zdejmował hitlerowskie flagi z budynku firmy „Ludwik Geyer” przy ul. Piotrkowskiej. Sam zdejmował dlatego, że żaden z robotników nie chciał tego zrobić, mimo że im to nakazywał. Taką wersję śmierci Roberta Geyera przywiózł w styczniu 1940 roku mój ojciec.

Szczegóły śmierci Roberta Geyera można też znaleźć w „Słowniku Biograficznym”, tom VII, Kraków 1948—1958. Dobrze jest sprawdzać relacje „naocznych świadków” z historycznymi dokumentami i źródłami.

LESZEK ŚLUGOCKI

PS. Warto byłoby odnotować w obszerniejszej publikacji fakt zniknięcia Antykwarium „Słowo” pana Henryka Maszewskiego. Działał od 1945 roku do grudnia 1989 roku. Było to specyficzne miejsce, gdzie można było znaleźć wiele wydawnictw nawet z minionych epok. Zniknięcie Antykwarium „Słowo” — podobnie jak swego czasu księgarni „Czytaj” p. Pawłaka — wytwarza pustkę, której chyba nikt nie wypełni.

L.S.

## Ireneusz Sekuła:

W prymitywnie uprawianej propagandzie prywatyzację traktuje się jako odwrócenie nacjonalizacji. Jest to oczywiście nieporozumienie. Nacjonalizować można dekretem, siłą, jednorazowym aktem władzy, natomiast do prywatyzacji potrzebna jest chęć skarbu państwa, aby wyzbyć się majątku; potrzebna jest chęć innych podmiotów, aby ten majątek nabyć; potrzebne są pieniądze, aby zań zapłacić. (...)

Lewica zawsze miała skłonności do opcji pracowniczych. Opcja pragmatyczno-menedżerska jest jednak efektywniejsza. Z jednej strony kusi odwołanie się do szerokiej bazy społecznej, z drugiej strony, jeśli już dokonywać głębokich zmian struktury, to na strukturę bardziej efektywną.

(Z przemówienia w Sejmie 12.07.1990)

## Bogate miasto — to bogata wieś.

— Mieszkańcy miast przyglądają się demonstracjom rolników z niechęcią i niezrozumieniem. W mieście przeważnie uważa się, że rolnicy mają się dobrze i nie wiadomo dlaczego protestują. A jak jest w rzeczywistości? Czego domagają się rolnicy?

— Główny postulat rolników i ich związków dotyczy cen minimalnych gwarantowanych. Rząd broni się przed uznaniem takiej potrzeby. A przecież ceny takie funkcjonowały w przeszłości i funkcjonują w rozwiniętych krajach świata. Na przykład w USA cena gwarantowana minimalna opłacalna jest dla 80 procent farmerów. To mówi samo za siebie.

— Co rolnikowi gwarantuje cena minimalna?

kupić od 1,5 do 2 litrów ropy. Natomiast w Polsce litr ropy kosztuje od 3 do 6 litrów mleka. To dobrze ilustruje sytuację polskiego rolnictwa.

— Jakże mogą być tego skutki?

— Wybicie stada. W Bratoszewicach na przykład jest bardzo dobre stado, dobre obory i wysoka wydajność — przeszło 5000 litrów mleka rocznie od krowy. Jest to mleko I grupy o europejskim standardzie. Ale przy cenie 500 złotych za litr nie opłaca się produkować tego mleka. Trzeba więc pozbyć się stada. Im jest żal dobrych krow, więc się wstrzymują z taką decyzją. Ale w ekonomii nie ma sentymentów. Będą musieli to zrobić!

— Czy można stado uratować?

— Potrzebna tu jest polityka

Mало jest takich gospodarzy, którzy mają własne duże pieniądze. Mieliśmy dotąd taki system ekonomiczny, który zmuszał do tego, aby nikt nie posiadał własnych środków obrotowych i aby każdy chodził po nie do banku. Teraz mamy tego skutki. A to dotyczy przede wszystkim dużych gospodarstw.

— Przez wiele lat narzekaliśmy na brak żywności. Teraz jest kryzys w rolnictwie, ale żywności nie brakuje. Jest jej jakby więcej.

— Ale to jest pozorna nadwyżka żywności. Po pierwsze — co już wspomniałem — mamy barierę popytu ze względu na ubożenie miasta, które jest głównym odbiorcą żywności. Po drugie — wiele naszych produktów żywnościowych nie ma

## Chłopi tego nie zapomną

Rozmowa z BOGDANEM ŁUKASIEWICZEM — posłem na Sejm z Polskiego Stronnictwa Ludowego.

— Gwarantuje mu zwrot nakładów i niewielki zysk przy przeciętnych warunkach produkcji. Rolnik stale ponosi ryzyko związane z warunkami atmosferycznymi, a brak cen gwarantowanych minimalnych stwarza dodatkowe ryzyko. A już szczególnie u producenta, który poczynił długoterminowe nakłady. Brak takich cen zniechęca do podnoszenia wydajności. Polskie rolnictwo znalazło się w takich warunkach, kiedy rolnikom oferuje się środki produkcji po cenach światowych, a na jego produkty tworzy się bariera popytu. Ceny minimalne gwarantowałyby przynajmniej zwrot kosztów produkcji. Bez tego powstaje zagrożenie nie tylko dla wsi, ale i dla miasta.

Minimalna cena kwintala żyta powinna wynosić od 72 do 85 tysięcy złotych, a wynosi 55 tysięcy złotych. Państwowe Zakłady Zbożowe mają zapasy zboża na 2 miesiące, magazyny są wypełnione w blisko jednej trzeciej, a zaczynają się żniwa. Zboże w Polsce zbiera się raz do roku i trzeba je przechować. Większość rolników nie dysponuje swoimi magazynami. Gdzie więc to zboże zgromadzić? Taka sytuacja musi odbić się na cenie chleba. Za kilogram żyta płaci się 550 złotych, a kilogram chleba kosztuje około 2800 złotych. Drożeje energia, co przeznosi się na cenę chleba. I nie ma tu żadnych mechanizmów regulujących, które wpływałyby na stabilizację takiej sytuacji.

Inny przykład: mleko. Z rachunku kosztów wynika, że litr mleka powinien w skupie kosztować 1000 złotych, a łódzkie mleczarnie płacą 600 złotych, są i takie, które płacą po 300 i 400 złotych. W zachodnich krajach za litr dobrego mleka można

interwencyjna państwa. Spółdzielnie mleczarskie nie mają własnych pieniędzy, trzeba im dać ulgi podatkowe, tanie kredyty.

— Podjęto już decyzje w tej sprawie.

— Tak i to będzie miało wpływ na sytuację spółdzielni pod koniec roku. Ale początek roku był zabójczy dla spółdzielni, a szczególnie dla tych, które poczyniły inwestycje i wcześniej wzięły kredyty.

— Dla jakich gospodarstw sytuacja ta jest bardziej groźna, dla bogatych i silnych, czy dla małych i biednych?

— Sytuacja wszystkich gospodarstw jest zła. Jak wykazuje statystyka siła nabywcza gospodarstw rolnych wynosi 53 procent siły nabywczej z 1989 roku. Co robi zatem rolnik? Kupi mniej nawozów, nie będzie opryskiwał pola, nie będzie inwestował. Zmniejszy się potencjał rolny. Już dziś wiele hektarów ziemi leży odłogiem. Odtworzyć to nie będzie łatwo.

Dziś wielu ludzi żyje już na granicy ubóstwa. Nie ma też rynku pracy. Chłop nie może rzucić ziemi i pójść szukać pracy w mieście, bo jej tam nie ma. Musi się bronić. Każdy chłop tak biedny, jak i bogaty. Ale sytuacja ta bardziej zagraża najlepszym gospodarstwom, które mają kredyty, którym potrzeba dużych środków obrotowych, które dużo inwestują i to na odległe terminy. Natomiast gospodarstwa przeciętne przetrzymają łatwiej ten kryzys.

— Dlaczego?

— Z prostej przyczyny. W gospodarstwach silnych, gdzie się inwestuje na podstawie kredytów cały zysk zżerają odsetki.

siły przebiecia na eksport, bo nasze produkty w wielu wypadkach są gorszej jakości. Na całym świecie handluje się nadwyżkami żywności. Wymaga to jednak właściwego przechowania, a my nie mamy ani gdzie, ani jak. Nie bez znaczenia są również nasze kłopoty z eksportem żywności do ZSRR. Z jednej strony nie dogadano się na szczeblu ministerstw współpracy z zagranicą co do handlu żywnością i jej ceny, z drugiej — poważna została ograniczona wymiana przygraniczna. To grozi nieźle do tej pory prosperującej „scianie wschodniej” bankructwem.

Proszę przy tym pamiętać, że mamy teraz 15-procentowy spadek dochodu narodowego, a normalnie rozwijający się kraj ma 3-procentowy roczny wzrost dochodu narodowego. Jest to katastrofalna sytuacja. Kluczem do rozwiązania sytuacji rolnictwa leży w mieście. Jeśli miejski odbiorca będzie miał pieniądze, to i rolnik na tym skorzysta. Rolnictwo jest tylko częścią gospodarki i tak trzeba patrzeć na sprawę wsi.

— Jakże jest wyjście?

— W rolnictwie trzeba dokonać zmian strukturalnych. Droga do tych zmian wiedzie przez opłacalne warunki produkcji i oczywiście wolną grę rynkową. Co można osiągnąć przez zwiększenie powierzchni gospodarstw? Tylko wyższą wydajność. Ale nie koszty jednostkowe. Mam wysokotowarowe gospodarstwo i wiem, że u mnie koszty są o wiele większe, bo mam większe nakłady. Jeśli stworzy się dobre warunki dla produkcji rolnej i przez ceny

DOKOŃCZENIE NA STR. 4

minimalne gwarantowane zapewni się stabilność produkcji rolniczej, to po jakimś czasie okaże się kto rzeczywiście jest dobry i ma dobre, efektywne gospodarstwo. Ale tego nie osiągnie się w pół roku.

— Rolnictwo jest w trudnej sytuacji. Rolnik nie ma wyjścia. Musi się bronić. Ale nie wszyscy akceptują sposób, w jaki się broni.

— Są to formy demonstracji, które mają zwrócić społeczną uwagę na sprawy rolnictwa. To w żadnym wypadku nie jest świadome szkodzenie. Poza tym są to prawnie zagwarantowane formy protestu. Blokady dróg nie wzięły się z niczego. Poprzedziły je wielomiesięczne żądania rozmów. W wielu krajach rolnicy, farmerzy stosują taką metodę protestu. Polscy chłopcy skorzystali tylko z tych sposobów.

— A okupacja gmachu Ministerstwa Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej?

— Wejście do gmachu jest wynikiem tego, że chłopcy traktują Ministerstwo Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej jako swego reprezentanta. Ono ma obowiązek dbać o interesy chłopów. Żadnych szkód tam chłopcy nie zrobili. Natomiast rząd nie wytrzymał nerwowo i użył siły. Doświadczenie wszakże uczy, że siłą nie udało się zwalczyć żadnego ruchu społecznego.

— Konflikt nie został jeszcze rozwiązany do końca.

— Nie. I boję się, że użycie siły z jednej strony może doprowadzić do użycia siły z drugiej strony, a tego należałoby uniknąć. Dlatego uważam, że blokada dróg skanalizowała niezadowolone, zahamowała jego żywiołowy rozwój.

— Niektórzy chłopcy oskarżają rząd o antychłopski charakter. Ile w tym oskarżeniu jest prawdy?

— Polityka rządu w stosunku do wsi wynika nie tylko ze względów ekonomicznych, braków w budżecie, ale też z politycznych rozgrywek, jakie mają miejsce na szczytach władzy. Z mojego poselskiego doświadczenia widzę, że interes społeczny dla niektórych ludzi nie pokrywa się z ich interesem. Dlatego trzeba być ostrożnym w ocenie takiego czy innego rządu.

— Niedługo czekają nas nowe wybory parlamentarne. Jaki wpływ na nie może mieć ta sytuacja?

— Tego, co się stało, chłopcy nikomu nie zapomną. W przyszłych wyborach — tak to oceniam — będą głosowali przede wszystkim na tych, którzy zagwarantują obronę ich interesów. I to będą polityczne skutki dzisiejszej zabawy w politykę rolną.

Rozmawiała:  
BOGDA MADEJ

## Skład tarcicy

PHUP MAXBUD

tel. 14-12-65

Starowa Góra, ul. Okienna 8

— boczna od ul. Zagłoby na granicy Łodzi i Starowej Góry, (dojazd ul. Rzgowską autobusami „C”, 70, 268 i 268 bis przystanek za Szpitalem Matki Polki — do składu po przeciwnej stronie ul. Rzgowskiej ok. 500 m)

O F E R U J E:

- ◀ TARCICĘ SOSNOWĄ ŚREDNIODEŁUGĄ od 90 cm do 230 cm, w grub. 22 i 25 mm, w cenie od 430.000 do 550.000 zł/1 m sześć.
- ◀ TARCICĘ SOSNOWĄ PEŁNODEŁUGĄ w grubościach 18 mm i 19 mm, w cenie 550.000, 600.000 i 1.200.000 zł/1 m sześć. — obrzynana
- 22 mm i 25 mm w cenie 700.000 i 830.000 zł/1 m sześć. — obrzynana
- 28 mm, 32 mm, 38 mm i 45 mm w cenach od 830.000 do 1.330.000 zł/m sześć. — obrzynana i nie obrzynana.
- ◀ BALE SOSNOWE: grub. 50 mm, 63 mm, 75 mm, 80 mm, 100 mm w cenach od 900.000 do 1.300.000 zł/1 m sześć.
- ◀ KRAWĘDZIANKI 9 mm × 9 mm, 12 × 12, 14 × 14, 50 × 100, 70 × 140, 80 × 160, 10 × 10, 100 × 230 i inne w cenach od 570.000 do 1.300.000 zł

o r a z

- ◀ TARCICĘ OLCHOWĄ i BRZOZOWĄ w grub. 25, 50, 70 mm w cenie 650.000 i 670.000 zł/1 m sześć.
- ◀ TARCICĘ DĘBOWĄ w grub. 40 i 70 mm w cenie 1.450.000 zł/1 m sześć.

Dysponujemy też drewnem powietrzno-suchym. Przy zakupach powyżej 5 m sześć, udzielamy rabatu od 5 do 10 procent.

Załadunku dokonujemy bezpłatnie.

Obróbkę zakupionego drewna można zlecić na miejscu

20/7

## W Białej prawie wszyscy uważają się za Niemców.

Na Opolszczyźnie spełnia się sen o samorządzie. Do głosu doszli ci, którzy siedzieli tu od wieków: Ślązacy. Dla wielu ludzi, zwłaszcza z innych regionów Polski, stanowi to szok. Okazało się bowiem, że rodowici mieszkańcy tej ziemi deklarują się teraz w większości jako Niemcy, względnie niemieccy Ślązacy. Gdyby nie ludność napływowa, przybyła tu po wojnie ze Wschodu, czujący się Niemcami byłiby prawdopodobnie w większości, przeważając liczebnie nad tymi, którzy czują się polskimi Ślązakami. Rządziłby całym województwem, a tak — zdobyli kolo jednej trzeciej mandatów, przeważnie w podopolskich gminach. Skupieni w Towarzystwie Społeczno-Kulturalnym Mniejszości Niemieckiej na Śląsku Opolskim, zaczynają — jak mówią — prawie wszystko od zera.

### Biała nazywa się Zülz.

Asfaltowa droga w szpalerze starych drzew, łagodne, złoce się od zbóż pagórki, i nagle — za kolejnym zakrętem — wianuszek kamieniczek przylepionych do ciężkiej bryły zamku na wzgórzu, a w tyle, na drugim planie, strzelista wieża kościoła. To Biała...

Biała okazuje się z bliska małym, dość podniszczonym miasteczkiem, ze śladami dawnej świetności. Bliżej stąd do granicy Moraw, niż do Opola. Położona jest na samym krańcu terenów o przewadze „miejscowych”. Kilkanaście kilometrów na południe i zachód, w Prudniku i Nysie, przeważa ludność napływowa. W gminach sąsiadujących od północy i wschodu, mieszkają „swoi”. Jadąc z Opola do Białej, przez „prawdziwy” Śląsk Opolski, widzi się po drodze zadbane, bogate wsie, prezentujące się odnowionymi fasadami obszernych domów, starannie utrzymanymi ogródkami. Ściany na biało, brązowe ramy okienne, obejmujące jednolitą tafle szyby, zagraniczne, przeważnie niemieckie samochody przed bramami — oto wystawa tej części Opolszczyzny. O tej drugiej, napływowej części, nie ma co pisać, za bardzo przypomina resztę Polski.

W Białej pozostało kilka odrapanych zabytków (w państwowym reku), są komunalne czynszówki, uspołeczniony handel, wodociąg i całość infrastruktury, do niedawna również państwowej. Wszystko to, jak i gdzie indziej, jest odrobinę zaniedbane, wyrażając się delikatnie.

— Co przybyło po wojnie? — zastanawia się świeżo wybrany burmistrz, 31-letni Zygfryd Kusber, który przedwojny nie może pamiętać, jednak swoje wie: — Bloki, tworzące jedną ścianę rynku... No, ale — zauważa z krzywym uśmiechem — przed wojną stały w tym miejscu piękne kamieniczki, zniszczone potem przez Rosjan...

Przed wojną — teraz burmistrz wymienia niewatoliwe straty — było w Białej (to znaczy w Zülz, tak się wówczas nazywało miasteczko) sieć gazowa, której dziś nie ma. Stały także dwa hotele, a dziś — nie ma ani jednego...

Z faktu, iż w Białej nie ma obecnie hotelu, nie należy wyciągać wniosku, że miasteczko nie ma kontaktów ze światem. Przeciwnie — przy rynku znajdują się aż dwa przedstawicielstwa biur podróży, kubek w kubek jak w Gogolinie czy w pobliskim Głogówku. Na tablicach wypisane kilkanaście nazw miejscowości, w których zatrzymuje się autobus. Wszystkie znajdują się na zachód od Łaby, zaś chętnych do wyjazdu (i to na stałe) nie brakuje...

— Niestety — wzdycha Zygfryd Kusber, który także miał okazję do opuszczenia na zawsze Heimatu. Tak już uczyniła większość rodziny Kusberów, z dziada pradziada Ślązaków, przenosząc się do Vaterlandu. On sam był w Republice trzykrotnie. Za pierwszym razem w 1979 roku, wyjechał jako student z Krakowa, bo miejscowych wtedy nie puszczano. Za drugim razem w 1981 roku, gdy w polskich sklepach był tylko oset. Pomimo to — powrócił. Wrócił również z trzeciej podróży, choć proponowano mu pracę mieszkanie w nowym budynku, 90 metrów kwadratowych. Nie połączył się jednak z Macierzą, bo tu, na Śląsku, spożywają prochy pierwszych przodków. A teraz nie wyjedzie już na pewno, skoro jest pierwszym od 45 lat burmistrzem z miejscowych. Za komunistów przywożono ich w łecze najeźdźcy z Prudnika. Tak się złożyło, że nikt z nich nie był Ślązakiem z urodzenia.

### Burmistrza rachunek sumienia.

Kim jest Zygfryd Kusber? Dla siebie — jest Niemcem, ewentualnie — niemieckim Ślązakiem — To właściwie wszystko jedno — mówi — bo i Bawarczyk jest Niemcem, a mówi o sobie — Bawarczyk.

Kim jest Zygfryd Kusber dla innych, na przykład dla reportera z centralnej Polski. Pytanie nie jest orowokacyjne. Dopóki nie powie wyraźnie, że jest Niemcem, można go bowiem posadzić o polskość. Mówi po polsku absolutnie płynnie, z lekką tylko naleciałością gwary. Rozmawia w tym języku z soltysiem, z sekretarką, z dyrektorem szkoły, a on (choć wielu z nich — jak się dowiaduję — uważa się za Niemców) odpowiada mu także samo w urzędowym języku gminy Biała. Ale nie tylko w urzędzie: w sklepach na rynku, w autobusie — mówi się po polsku. Tylko dwie staruszki, co wyszły akurat z kościoła, rozmawiają z sobą po niemiecku. Mija je trzecia, pozdrawia po polsku. — Dzień dobry! — a one odpowiadają: — Dzień dobry, pani Hammerowa...

Co na to Zygfryd Kusber?

— Najwyższy czas przyjmować za kryterium świadomość narodową, poczucie, że jest się Niemcem.

# Po drodze do Europy jest Śląsk!

Następuje historyczny wykład o Śląsku Opolskim. Burmistrz, jako historyk, nauczyciel historii w liceum, czuje się w tej materii kompetentny. — Tutaj — zauważa — zawsze była dwujęzyczność, bo mieszały się kultury. Mieszkał tu Grenzenvolk, naród pogranicza, z silnym poczuciem „lutejszości”, ale bez sprecyzowanej świadomości narodowej.

Tak było jeszcze przed wojną. Gdy na siłę germanizowano, odczuwała się polskość. Gdy po wojnie na siłę polonizowano, odczuwała się w całej pełni niemieckość. Z opóźnieniem — to prawda — ale dlatego, że po pierwsze, była dyktatura, trzymano ludzi w strachu, a po drugie, naród jest zdyscyplinowany, szanuje władzę, jaka by ona nie była. Ale przecież wszystko widzi, potrafi ocenić 45-letnie balaganiarskie rządy, więc teraz, gdy nastąpiła demokracja, odnalazł w sobie siłę, i. przynajmniej się do niemieckości. Trzeba było wreszcie zrobić krok do przodu — żeby skończyć z tą nieokreślonością.

— Gdzie jest powiedziane — zapytuje burmistrz retorycznie — że świadomość narodowa stoi w miejscu?

Prawdziwi Ślązacy są zdyscyplinowani i pracowici. Mają szacunek dla własności prywatnej. Cenią wytrwałość i konsekwencję. Co ważną, lubią skończyć. Nie trwonią czasu na zbędne dyskusje. Pracują — nie dyskultują. Tworzą dobrobyt własny i tej ziemi.

A Polacy?

Owszem, burmistrz ceni ich kulturę. Poznał ją dobrze, studiując na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zna od dawna książki, którymi dopiero obecnie zachylają się inteligencja w Opolu: Krystyny Kerstenowej, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Władysława Pobóg-Malinowskiego. Może nawet o sobie powiedzieć, że wychował się na pracach polskich intelektualistów (i wychowywał innych, przewożąc zakazane książki z Krakowa na Śląsk).

— Ale, cóż... Polacy nie mają dostatecznie wyrobionego poszanowania prawa, co z kolei cechuje Ślązaków. A ta wartość — poszanowanie prawa (plus — oczywiście — skuteczna praca) — to dla burmistrza wartości nadrzędne. — Wie pan, gdzie rolnicy zrobili na Opolszczyźnie zatony? W okolicach Brzegu, Głubczyc, Namysłowa — tam, gdzie ludność napływała... A my? My — pracujemy...

Reasumując: skoro w rodzinie Kusbrów mówili się zawsze po niemiecku, skoro cenili się i cenili wartośći wspólne dla Ślązaków i Niemców, nie pozostaje nic innego, jak uznać się za Niemca.

— Ale — powiada burmistrz — taki rachunek sumienia, to po prostu racjonalizacja poczucia, które nosi się w sercu od dzieciństwa. A to poczucie podpowiada mi wyraźnie: jest Niemcem.

## Po drodze do Europy.

Podobne poczucie odnajdują w sobie tysiące innych Ślązaków — przynajmniej na papierze. Jest bowiem sporne, czy rzeczywiście noszą je w sobie od dzieciństwa, czy nabyli je dopiero niedawno, zapatrzwszy się w niemiecki dobrobyt. Liczą się jednak konkretne opcje. Te zaś są wymowne: na 12 tysięcy mieszkańców gminy Biała, na listy mniejszości wpisało się 5 tysięcy osób. Na 26 wsi w gminie, tylko w 3 mniejszości nie okazała się większość. Na 17 mandatów, mniejszość objęła 15 miejsc w radzie. I wreszcie — może rządzić...

— Na początek — mówi burmistrz — chcemy zmienić administracyjne podporządkowanie, z regionu Nysy na region Opole. Podlegając pod Nysę, jesteśmy tam jedyną gminą mniejszościową. Na dodatek, nie istnieje bezpośrednie połączenie z Nysą. Po co więc było to utrudnienie?

Ważne jest także, aby większość pól rolnych z gminy (gdzie przeciętna wielkość gospodarstwa wynosi 3 hektarów) mogła być przerabiana na miejscu; planuje się więc budowę ubojni, rzeźni, młynów itp. Ale najważniejszy w hierarchii potrzeb jest język niemiecki. Burmistrz pominął milczeniem pytanie, czy młodzież umie posługiwać się tym językiem. Wspomogę się więc cytatem z „Oberschlesische Nachrichten” („Wiadomości Górnośląskie”), na łamach których wypowiada się wójt Alojzy Kokot z Dobrzenu Wielkiego, gminy „mniejszościowej” położonej na północ od Opola:

— „Nie ma w Dobrzenu rodziny, która jakiegokolwiek odnogi nie zakorzeniłaby w RFN, NRD, Austrii czy Szwajcarii. Młodzi jeżdżą w odwiedziny i rozmawiają z krewnymi na mię. Kto to widział?”

W Dobrzenu biją więc na alarm, starając się na gwałt o germanistów. W Białej są również szybcy: postanowiono już, że od nowego roku szkolnego wprowadzi się we wszystkich szkołach podstawowych gminy obowiązkowy język niemiecki. Na razie od 5 klasy, bo za mało nauczycieli. Burmistrz zachęca starsze osoby, żeby zdawały egzamin państwowy i uczyły młodzież języka ojczystego. Martwi się także, co ma zrobić z rusycystami. Gdyby tak można ich wymienić na germanistów.

Obowiązkowy niemiecki będzie również dla dzieci z 3 wsi, które jako jedyne w gminie są mniejszościowe wśród mniejszości, czyli polskie. Są takie, bo przed wojną mieszkali w nich Ślązacy, którzy nie umieli słowa po polsku. Zostali więc wysiedleni, a na ich miejsce przyszli zabużañscy. Czy zechcą się teraz uczyć niemieckiego?

— A dlaczego nie — dziwi się burmistrz — przecież powinno im zależeć... Idziemy — dodaje zaraz — razem ku Europie: Polacy i Niemcy. A po drodze do Europy jest Śląsk.

## Czy będzie konflikt?

Zygfryd Kusber jest, jak wynika z powyższej wypowiedzi, dużym optymistą. Nie sądzi, aby eksponowanie narodowości doprowadziło do konfliktu z Polakami:

— W naszej gminie konflikt jest mało prawdopodobny. Oni (napływowi) wiedzą, że jesteśmy im potrzebni...

Johann Kroll, przewodniczący Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Mniejszości Niemieckiej na Śląsku Opolskim, patrzy w przyszłość bardziej ostrożnie (cytat pochodzi z „ON”):

— „Za siebie się nie boję, bo w życiu wiele przeszedłem. Boję się za innych, boję się za mój Heimat. Boję się szowinizmu. W Polsce jest niestety dużo nienawiści, która przeszkadza w odbudowie gospodarczej kraju”.

Oponent Krolla, doc. Franciszek Marek z Gogolina, działacz kulturalny na Śląsku, również nie widzi przyszłości w różowych barwach (cytat z „Trybuny Opolskiej”):

— „To co się obecnie dzieje na Opolszczyźnie przeraża mnie. (...) Zdarzało się, i to nawet dość często, że jeden brat wzdychał ku Polsce, drugi — ku Niemcom. Jednak więź rodzinna była silniejsza niż przeciwstawne sympatie. Teraz podpisywanie listy rzekomej mniejszości niemieckiej doprowadzi do konfliktów, do podziałów wewnątrzrodziny. Wszystko się to może dla nas wszystkich źle zakończyć”.

W Szedrzykowie, wsi na Opolszczyźnie, gdzie — jak napisano w „ON” — „mieszkają Niemcy, Polacy i Ślązacy”, dokonano niedawno przerażającego odkrycia. W nocy jacyś sprawcy zdewastowali cmentarze, przewracając i rozbijając kamienne płyty, deptając groby, wyrwijając krzyże. Z kapliczki wyrzucono posąg Matki Boskiej, z kurcyfiksów poodyrowano figurki Chrystusa. Kto to zrobił? Dla czego? Jedni przypuszczali, że to polskie bojówki — spostrzegli, że większość zniszczonych grobowców miała niemieckie napisy. Drużdy byli przekonani, że uczynili to szowiniści niemieccy — na wiadome oczy widzieli, że na większości poprzewracanych płyt były polskie napisy. Ktoś coś widział, ktoś coś słyszał, zeznawać nie chciał nikt. Wiś przeczaiła się.

Wykrycie przez policję sprawców (okazali się nimi młodociani wandy, absolutnie zresztą nie przejmujący się swoim czynem) przyniosło ulgę: a więc to jeszcze nie polityka...

Lecz polityka — przez wielkie „P” — puka do drzwi Śląska od zachodniej strony. Johann Kroll, Zygfryd Kusber i wszyscy, którzy uważają się za Niemców, obawiają się konsekwencji traktatu państwowego w sprawie granicy na Odrze i Nysie. Przewidują bowiem, że przestanie wówczas działać 116 paragraf Konstytucji RFN, dzięki któremu traktowano Ślązaków podobnie jak obywateli Republiki, gdyż mieszkali w przedwojennych granicach Rzeszy. Mieli przez to znaczne ułatwienia w wyjazdach i zarobkowaniu.

Co im może zastąpić paragraf 116 Konstytucji RFN?

Tylko jedno — przyznanie podwójnego obywatelstwa.

— Niech Ślązak z dziada pradziada — proponuje Zygfryd Kusber — ma paszport polski i paszport niemiecki. Będzie mógł nadal wyjeżdżać do Niemiec na zarobek. Powróci z pieniędzmi, zainwestuje w gospodarstwo — opłaci się także Polsce.

Czy jednak obywatel polski, będący jednocześnie obywatelem niemieckim, będzie zawsze lojalny wobec interesów kraju nad Wisłą i Odrą? Co się stanie, gdy interesy Polski i Niemiec staną w sprzeczności?

Na to niemieccy Ślązacy odpowiadają mniej więcej tak:

— Myśmy zawsze byli lojalnymi obywatelami Polski. Nawet bardziej niż inni. Więcej pracowaliśmy, słuchaliśmy się władzy, aż zrobiono z nas „białych Murzynów”. Spójrzcie na wieś opolską — czyż nie jest przykładem gospodarności? Czy z tego bogactwa nie ma korzyści i Polska?

Kogo z Polaków przekona to rozumowanie? Obawiam się, że niewielu. Rację mają chyba Johann Kroll i Franciszek Marek: przyszłość zgody na Śląsku mocno jest niepewna.

W Gogolinie na dworcu widnieje napis: „Kroll jest nasz”.

W Opolu na pawilonie wypisano: „Kroll do Niemiec”.

W Głogówku, który nazywany jest „małym Berlinem”, jakiś patriota poczuł się najwyraźniej zagrożony. „Niech żyje Polska” — napisał na kościelnym murze.

A kilkuletni chłopczyk z Białej, zniecierpliwiony oczekiwaniem na matkę, krzyczy w głąb sklepu:

— Mamusia, komm!

Czy on jest przyszłością Śląska?

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

## Przyjechała z Nipponu

Studiuje we Francji filologię francuską. Do Łodzi przyjechała dlatego, że tutaj ma praktyki jej przyjaciel z Francji.

W rękę miała plan miasta i miotła się na skrzyżowaniu ulic Gdańskiej i Zielonej. Podfrunęła do mnie i coś zaszeleściła w swoim języku. Domyśliłem się, że chodzi o ulicę Gabriela Narutowicza. Wskazałem ręką. Pyta, czy mówię po francusku, ja — czy mówię po angielsku. Też.

— To bardzo ładne miasto, tylko dlaczego takie brudne. Poszliśmy do muzeum Łodzi. W sali za stołem o lustrzanym blacie oszalala z zachwytu. Pyta, czy te imitacje są polskiej produkcji. Na wiadomość, że to oryginały lekko skośne oczy robią się okragłe. Choć sama nie gra, o Arturze Rubinsteinie wie dużo. Popisuje się też wiedzą o Chopinie, ale Hubal jest dla niej zupełnie niezrozumiały.

Zgłodniała. Chce kupić kilka bułek i jakiejś warzywa. Próbowala kilkakrotnie zjeść coś w barze, ale nie może się dogadać.

— To niemożliwe, żeby w Polsce była pizza?

— Naprawdę są u was sex-shopy?

— Czyj to pomnik? Kościuszko?

— Czy „Hortex” to firma prywatna? Te lody są naprawdę doskonałe.

„Wjazd” do dyskoteki kosztuje 50 tysięcy. Dla niej to drobny wydatek. Japonia jest bardzo bogatym krajem i jej obywatele też.

Bardzo jej się podoba w Europie. To wspaniałe, że ludzie mają tutaj długie wakacje. W Japonii tylko tydzień. Dziwi się, że na ulicach bardzo rzadko widać mężczyznę w garniturze. Na widok „Syreny” zaśmiewa się i pyta, czy to przedwojenny pojazd. Kiedy sprzedawczyni nie chce zdjąć z wystawy spinki do włosów, pyta, z czego ta kobieta żyje skoro ma sklep, a nie potrafi handlować?

Kiedy w kolejce po pieczywo muszą odstać kilkanaście minut, dziwi się mojej irytacji — przecież to bardzo mała kolejka, widziałam w Polsce dużo dłuższe. U was w ogóle wszędzie są kolejki i wszędzie trzeba czekać.

Kiedy odjeżdżała mówiła, że Polacy są wspaniali, tylko żeby jeszcze znali języki. W Japonii łatwiej o angielski, ale ludzie nie pomagają tak chętnie obcym.

**BOGUMIŁ  
A. MAKOWSKI**

## Pytania ciągle pozostające bez odpowiedzi

### Państwowy Dom Małego Dziecka w Łodzi.

Czysto, przytulnie. Dzieci leżą w łóżeczkach. Jedne śpią, inne tępo wpatrują się w sufit. Jeszcze inne kołyszą się bezmyślnie lub przewracają z boku na bok — to objaw choroby sierocy. Prawdziwych sierot jest mało. Większość dzieci ma rodziców.

— Zgłosiła się do nas kiedyś kobieta — opowiada kierowniczka Irena Rochalska — z matką, śliczną dziewczynką. Prosiła, żebyśmy się nią zaopiekowały. Powiedziała, że mąż ją rzucił, a ona nie da sobie rady sama z trojgiem dzieci. Myślałyśmy, że zabierze córeczkę jak poprawi swoją sytuację materialną, ale ona nigdy więcej nie przyszła, nawet w odwiedziny.

Wiele matek prosi o zajęcie się ich nowo narodzonym dzieckiem na pewien czas. Obiecuja, że jak ułożą sobie życie, wrócą po dzieci. Jedne nie zgłaszają się nigdy, inne dopiero po upływie 3 lat — one chcą mieć dzieci, ale... odchowane. Matki same piszą podania o przyjęcie ich dziecka. Swoją decyzję motywują różnie. Najczęściej są to: złe warunki materialne, ale nie tylko, na przykład chora psychicznie kobieta pisze:

„Uprzejmie proszę o umieszczenie mego dziecka, które urodziło się dn. .... 1989 r. w Domu Małego Dziecka. (...) Jestem osobą psychicznie chorą mającą z tego powodu II grupę inwalidzką. (...) Nie znam ojca nowo narodzonego dziecka, ponieważ 9 miesięcy temu byłam w bardzo złym stanie psychicznym”.

Inna kobieta, rozwódka samotnie wychowująca 2 dzieci pisze: „Dziecko jest owocem związku z przygodnie poznanym mężczyzną, który dowiedziawszy się o ciąży zerwał ze mną kontakt”.

Niektóre kobiety w ogóle nie piszą podań, po prostu uciekają ze szpitala pozostawiając dzieci. Często przebywają w szpitalu pod wymyślonym nazwiskiem i adresem, aby uniemożliwić ich odnalezienie. Są i takie kobiety, które decydują się na porzucenie dziecka. Do tego celu każde miejsce jest dobre. Znajdywano więc dzieci w piwnicach, na ławkach, pod lasem.

U podzrutek, zwanych „enenkami” (od NN — nazwisko nie znane) trudno ustalić personalia i datę urodzenia. Dzień urodzenia określa w przybliżeniu lekarz, imię nadaje personel Domu Dziecka, nazwisko sąd. Sąd w takich wypadkach sugeruje się zazwyczaj miejscem, w którym znaleziono dziecko.

Sposób, w jaki kobiety porzucają dzieci bywa czasem bardzo okrutny. Jedno z niemowląt zostało owinięte w szmaty i zamknięte w... walizce, a następnie pozostawione na łące. Bawiące się dzieci znalazły walizkę i zaniosły ją do domu nie mając pojęcia co znajduje się w środku. Niemowlę przeżyło, choć matka porzuciła je zimą.

Wiele kobiet nie decyduje się na oddanie swych „pociech” do Domu Dziecka stwarzając im w domu różnym isne piekło. Zaniedbanych i znerwicowanych maluchów przywozi do Państwowego Domu Małego Dziecka policja. Ona również stara się o pozabawienie praw rodzicielskich ich matek lub ojców.

Fragment pisma DUSW Łódź — Widzew o pozabawienie praw rodzicielskich:

„Matka bardzo często pozostawiała dzieci bez opieki. Zamykała je w mieszkaniu i znikala na kilkanaście godzin. W mieszkaniu przyjmowała różnych mężczyzn, odbywały się tam libacje alkoholowe. W trakcie kontroli w pomieszczeniu panował niesamowity zaduch. Brak dopływu ener-

że policja przyjechała podczas gdy ona akurat wyszła do... sklepu. Inna matka pięciorga dzieci czworo maluchów oddała do Domu Dziecka. Piąte zdecydowała się zatrzymać dla siebie. Dziecko jest zaniedbywane, a jego matka według relacji lekarzy do porodu została przywieziona w stanie... upojenia alkoholowego.

5-letnia Weronika została przywieziona do PDMD wraz z dwuletnią siostrzyczką. Ponieważ w PDMD przebywają tylko dzieci do lat 3, Weronikę trzeba było przewieźć do Pogotowia Opiekuńczego. Obowiązek przewiezienia małej spadł na pracownicę socjalną panią Marię Cichowicz. Pani Maria tak wspomina tamto wydarzenie:

## Dzieci, których nikt nie chce

MAGDALENA GROCHOWAŁSKA

gii elektrycznej. Dzieci były straszliwie brudne. Dziewczynka leżała w łóżeczku w zupełnie czarnej pościeli. Pośladki i okolice kroczka miały kolor czerwony z brązowymi wybroczynami. Chłopczyk sypiał z matką na podłodze (na kawałku gąbki) bez jakiegokolwiek pościeli. Matka nie miała dla dzieci żadnej żywności. W trakcie rozmowy obywatelka XY wykazywała zupełną obojętność o los swoich dzieci. Rodzeństwo zostało przewiezione do szpitala im. Korczaka. (...) Lekarze stwierdzili, że stan w jakim jest dziewczynka został spowodowany brudem (pośladki i kroczka dziewczynki). Lekarz pediatra poinformowała, że chłopczyk był przywiązywany, aby nie chodził”.

„Małżeństwo XY to alkoholicy. Obywatel XY często znęcał się nad rodziną. Będąc w stanie nietrzeźwym znęcał się fizycznie nad dziećmi, spowodował złamanie rączki u najmłodszego dziecka. Na wniosek lekarza za znęcanie się nad dziećmi przebywał w zakładzie karnym. Po aresztowaniu męża obywatelka XY przyjmowała w mieszkaniu mężczyzn z tzw. marginesu społecznego”.

Sąd w porę pozbawił praw rodzicielskich matkę i ojca dziewczynki, która niechybnie podzieliłaby w przyszłości los swojej 13-letniej siostry. O losie siostry dowiadujemy się ze sprawozdania z wywiadu środowiskowego:

„13-letnia D.M obecnie nie uczy się, a w domu przebywa jedynie sporadycznie. Sygnia z przygodnie poznanymi mężczyznami z aprobatą rodziców”.

Nie wszyscy rodzice dają się łatwo pozbawić praw rodzicielskich, choć ich postawa nie wynika wcale z miłości do dziecka. Matka, która wyjechała „w Polskę” zostawiając małe dzieci bez opieki ani środków do życia (jej mąż siedzi w więzieniu) była oburzona, że policja zabrała jej „pociechy”. Z uporem twierdziła,

— Dziewczynka trzęsa się ze strachu i płakała. Nie wiedziałam dlaczego. Dopiero w samochodzie Weronika trzymając mnie kurczowo za rękę i patrząc z przerażeniem w oczy spytała do kąd jedziemy. Kiedy usłyszała, że do Pogotowia Opiekuńczego uspokoiła się i powiedziała: a ja myślałam, że do domu. Nie chcesz wrócić do domu? — spytałam. — Nie — odparła. — Dlaczego? — Bo mama bije mnie kablem.

**Kierowniczka PDMD pani Irena Rochalska prowadzi mnie na oddział niemowląt.**

Dzieci są pogodne, uśmiechają się, wyciągają rączki, gaworzą.

— Każde dziecko, które do nas przychodzi — objaśnia pani Irena Rochalska — przechodzi dwutygodniową kwarantannę. W tym czasie jest dokładnie przebadane przez lekarza. Wszystkie dzieci dzielimy na 4 grupy: niemowlęta (do 1 roku), „raki” (od 1 do 2 lat), starszaki (od 2 do 3 lat) i grupa specjalna (dzieci upośledzone). Każde dziecko po ukończeniu 3 lat powinno być przekazane do Domu Dzieci Starszych, ale z braku miejsc często pozostaje u nas. Zdarza się, że Wydział Oświaty uznaje, iż dziecko, które przebywa u nas dłużej niż powinno, jest upośledzone i przekazuje je do domu dla dzieci upośledzonych. To tragiczne, ale winę za to ponoszą złe warunki lokalowe i brak funduszy.

Dzieci upośledzonych nie chce nikt. Nawet te „chciane”, kiedy okazują się upośledzone, są przez rodziców zostawiane w szpitalu. Stamtąd trafiają do Państwowego Domu Małego Dziecka. Niedługo PDMD przewoził je do Chelmina, gdzie przebywały w zakładzie dla dzieci upośledzonych prowadzonym przez siostry zakonne. Po ukończeniu trzeciego roku życia przywożono je do Państwowego Domu Opieki Spo-

leczeń, mieszczącego się w Łodzi przy ul. Spadkowej. Ostatnio jednak zdarzały się przypadki odsyłania dzieci ze Spadkowej z powrotem do... Chelmn. W takiej sytuacji zdecydowano się pozostawić dzieci upośledzone w PDMD.

— Mamy łącznie 190 wychowanków — mówi kierowniczka PDMD — 120 przebywa w domu przy ul. Drużynowej 3/5, a 70 w naszej filii przy ul. Lnianej 9. Dzieci mamy dużo, a personelu mało. Jest u nas sporo wolnych etatów, chętnych do pracy nie brakuje, ale nie możemy nikogo więcej przyjąć, gdyż nie mamy pieniędzy.

### Od przepelnienia ratują PDMD adopcje.

Nie jest ich jednak zbyt wiele, gdyż prawdziwi rodzice często stoją na przeszkodzie. Zdarza się, że matka która nigdy nie interesowała się swoim dzieckiem, nagle zaczyna je odwiedzać. Nie z potrzeby serca, ale po to, by sąd nie orzekł utraty praw rodzicielskich i nie przekazał dziecka do adopcji. Kiedy „niebezpieczeństwo” utraty praw rodzicielskich zostanie oddalone matka znów przestaje odwiedzać dziecko.

Do adopcji przeznaczono są dzieci, których rodzice zrzekli się lub zostali pozbawieni praw rodzicielskich. Rocznie jest ich około 50. Adopcje przeprowadza Ośrodek Adopcyjny mieszczący się w Łodzi przy ul. Nawrot. Ewentualni przybrani rodzice zgłaszają się do Ośrodka i po zatwierdzeniu formalności mogą podać adres swego, przyszłego „potomka”. W ten sposób część dzieci znajduje kochających rodziców. Niestety nie wszystkim jest to dane. Bez szans są dzieci kaleki, z wadami lub „za duże” (nowożył trzeciemu roku życia).

— Tylko raz udało nam się znaleźć przybranych rodziców dla dziecka z wadą. Była to dziewczynka z rozszczepem wargi i podniebienia. Wzieli ją Amerykanie polskiego pochodzenia — mówi pani Irena Rochalska. — Miał własne dziecko, a mimo to zdecydowali się na adopcję. W Polsce dziewczynka była bez szans, a tam zostanie poddana operacji.

W filii PDMD przy ul. Lnianej znajduje się również chłopczyk z wadą serca. Klinika Kardiologiczna w Krakowie zdecydowała się zoperować dziecko bezpłatnie. Te odroczki dobrego serca przesłaniają zwykle, codzienne akty wandalizmu i chamstwa.

— Nie możemy sobie poradzić z wyrostkami — narzeka pani Irena Rochalska. — Przechodzą przez ogrodzenie, wyrzucają kłódki, niszczą dzieciom huśtawki. Ponadto w krzakach okoliczni pijacy urządzają libacje, krzyczą, bluźnią, nie dają dzieciom spać. A przecież my musimy tym małym ludziom zapewnić nie tylko opiekę i wyżywienie, ale przede wszystkim spokój — spokój, którego nie miały w swoich rodzinnych domach!

Przed wejściem do hotelu „Marriott” stoi dwóch panów. Białe uniformy, białe kaski z czerwonymi pióropuszcami — coś między rzymską gwardią i górnikami na dożynkowych uroczystościach. Idę odważnie ku nim i... nie za'rzymali mnie. Może nie wyglądam najgorzej.

Ogromne obrotowe drzwi i... zupełnie inny świat.

#### 1.

Sala Receptyjna hotelu „Marriott” zalana światłem spływającym gdzieś z góry. Wielki, kryształowy żyrandol wisi jak pajak przyczepiony do sufitu. Na filarach marmuru i kryształowe lampy, na blyszczącej podłodze puszyste dywany. Dokoła kwiaty. Ogromne ilości. W sali króluje zieleń.

Delikatna muzyka docierająca z góry pochłania elektroniczne dzwonki wind, ledwo dosłyszalny szum klimatyzacji i kawalarniane dźwięki dochodzące z umieszczonej na tarasie drugiego piętra „Vienna Cafe”. Wszystko to tworzy specyficzny nastrój „Marriott”.

#### 2.

— Can I help you sir? Jest lepiej niż myślałem. Nie tylko mnie nie wyrzucili, ale i potraktowali właściwie. Wyprowadzam jednak z błędu recepcjonistkę i dalej rozmawiamy po polsku. Security officer, czyli po naszymu „wykidał” prowadzi mnie do piwnicy. Długi, biały korytarz z czerwoną linią na ścianie „Trzymać się czerwonej linii” — przypomina mi się sytuacja z jakiegoś filmu. Zakręć w lewo, zakręć w prawo i jeszcze raz — jestem na miejscu.

Niewielkie, podziemne biuro. Miękką wykładziną, funkcjonalne, nowoczesne meble, telefony. Wre praca. Chwilla rozmowy i mogę ruszyć na podbój hotelu.

#### 3.

Sześć wind kursuje aż do czterdziestego piętra.

Pierwsze zaskoczenie — ukradli piętra. A jakże — w windzie po przejeżdżeniu -1, 0, 1, 2 i 3 następuje numer 22. Areszt? Okazało się, że wyjaśnienie jest bardzo proste, tak jak prosty jest rozkład pomieszczeń „Marriott” Parter — sala recepcyjna, centrum handlowe.

1 piętro — biura administracji i kierownictwa.

2 piętro — sale balowe (ballrooms), sale spotkań (meeting rooms), snack bar „Kometa”, „Vienna Cafe”, restauracje: „Lilla Veneta”, „Bacciarelli” i „Chicago Grill”.

3 piętro — sala kongresowa.

Piętra 3—21 to poziomy biurowe.

22—40 to pokoje hotelowe. Na ostatnim piętrze mieści się słynny apartament prezydencki i „Panorama Club”.

W całym gmachu wind jest dwanaście — sześć w części hotelowej (kursują 0—3 i 22—40), pozostałe sześć w części biurowej (piętra 0—3—21).

Na poziomie 40 (namiętnie używa się tu określenia „poziom” — „level”) znalazłem nawet schody. Niestety — za pierwszymi drzwiami były drugie, a na nich napis: „wyjście tylko na parterze”. Dziękuję! Wolę windę, bo... windą bliżej.

#### 4.

Stojąc w hallu potrzebowałem tylko chwili, by zrozumieć że język polski nie na wiele mi się tu przyda. W tym budynku króluje angielski w najróżniejszych odmianach. Słychać też francuski, niemiecki. Polskiego używa się tylko w kontaktach z personelem.

## Po drugiej stronie obrotowych drzwi

Centrum handlowe to sklep z gazetami, butik, kiosk z różnymi niepotrzebnymi rzeczami (w odpowiedniej cenie) i galeria. Papierosy „Marlboro” kosztują 30 tys. zł, „Newsweek” — 25 tys. zł. Z polskich gazet obecne „Życie Warszawy” i „Gazeta International”. Nie obyło się bez pikantnego zajścia — nie zauważonego chyba przez nikogo oprócz mnie. Młody chłopak obejrzał wszystkie gazety, przejrzał cennik papierosów i najspokojniej w świecie „dmuchnął” paczkę, nie przejmując się panującym dokoła tłokiem.

Na piętro drugie dostać się można windą albo ruchomymi schodami. Tam też umieszczono biuro wymiany walut i wypożyczalnię samochodów — „Budget Rent a Car”. Ciekawostka — w „Marriottcie” skupuje się dolary po 8.950 zł.

Poziom drugi skupia całe życie hotelu. Korytarz pokryty miękkim dywanem prowadzi dokoła gmachu. Po drodze mijam kolejne sale balowe, po których prawdę mówiąc spodziewałem się dużo więcej. Na tym piętrze mijam „Kometę” — bar przekąskowy ozdobiony sporych rozmiarów amerykańską flagą, restaurację „Lilla Veneta”, której biały wystrój wzbogacony wszechobecną zielenią niemal hipnotyzuje gości przechodzących korytarzem i wciąga w objęcia uroczych kelnerów. Pamiętając o legendarnych cenach nie dałem się skusić.

Obok maleńki bufet ze słodyczkami. Tu ceny niewygórowane. Od 5 do 15 tysięcy zł. Na widok wystawy słinka cieknie, zatem w tył zwrot i... znów wpadłem — Kasyno Gry — „open daily 1 p.m.”, czyli czynne od 13.00. Było po trzynastej. Na szczęście obowiązują stroje wieczorowe. Zostałem na zewnątrz, co radzę wszystkim chętnym. I niech nie skusi was fakt, że ktoś wygrał jednego wieczora 50 tys. dolarów. Pomyślny ile wcześniej musiał przegrać.

#### 5.

Z „Lilla Venety” zrezygnowałem. Zostały jeszcze dwie: „Bacciarelli” i „Chicago Grill”. Te podobno są najdroższe. Kasia w „Chicago Grill” przymyka oko na mój „niewłaściwy” strój i mogę obejrzeć salę.

Stółki dla kilku i kilkunastu osób. Wszystkie przygotowane na przyjęcie gości. Przy jednym grupą Japończyków pograżona w nabożnej konsumpcji. Zestaw kieliszków mają wypełniony winem — a jest tu z czego wybierać. Próbuje obalić ugruntowany już mił o cenach alkoholi u Marriotta i... przegrywam. Niepozorna butelka z szarą etykietą zawiera szampana „Dom Perignon” za jedyne 1.350 tys. zł. Koniec zabawy.

— Jestem snobem i chcę zjeść coś drogiego.

— Proszę, uprzejmie — stek amerykański w cenie 185—225 tys., a do tego dodatki, napoje, wina, drinki... razem...

— Aż takim snobem nie jestem.

Kuchnia włoska wydaje się być tania jak... Obiad dla jednej osoby można zjeść już za 150—200 tys. zł. Oczywiście na sucho. Wina kosztują od 59 do 200 tysięcy, o szampanie i napojach wspominać nie będę. W obawie przed cenowym szokiem zrezygnowałem z odwiedzenia wiedeńskiej kawiarni i zadowolilem się hamburgerem w „O'Hare Pub” (19.600 zł), popijając polskim piwem (jedyne 13.500 zł). I już...

#### 6.

A żebyśmy nie popadli w kompleksy z zadowoleniem informuję, że:

— W kryształowym żyrandolu jedna żarówka była spalona.

— Schody ruchome nie działały (między poziomem 2 i 3), a ekipa naprawcza sprawiała wrażenie zakłopotanej i z uwagą studiowała schemat, co jednakże nie pomogło i po czterech godzinach goście dalej nie mogli dostać się tą drogą do pomieszczeń biurowych.

— W windzie nie działały dwie świetlówki.

— Wykładzina w pionie biurowym była poplamiona, a w toaletach brakowało mydła i papieru.

— I jeszcze jedno: restaurację, o której mowa wyżej zachwycając poziomem, czego nie da się powiedzieć o stolówce ukrytej przed oczami ciekawskich na trzecim piętrze pionu biurowego.

#### 7.

Przed hotelem panowie w białych uniformach podbiegli do podjeżdżających samochodów. Chodził młody człowiek w jeansach i kijkiem zakończonym szpiculem zbierał papierki i niedopałki. Kilkanaście kroków dalej potknąłem się o zmiecia paczkę po „Popularnych”. Wróciłem do naszego świata. Niestety!

MAREK  
JUŚKIEWICZ

## Nie ma moralnego przedawnienia

— Prasa, radio, telewizja bębnią o zbrodniach stalino-wskich, o innych — znacznie późniejszych milczy się lub mówi półgębkiem, jakby śmierć Stalina i Bieruta, u-sunięcie Berii i Bermana raz na zawsze położyło u nas kres terrorowi i bezprawiu. A wiemy przecież, co się dzia-ło po wprowadzeniu stanu wojennego, wiemy, że i przed-tem działały się rzeczy strasz-ne, Milicja całkiem bezkarnie biła i zabijała, a w takiej Łodzi nazwisko milicjanta Pa-jąka budziło grozę — mówi Grażyna Sidor.

Przechodzimy do pokoju, w którym mieszkał kiedyś jej brat, Piotr Lukaszewicz. Przy-

znalnych deklaracjach, niż w codziennej praktyce, o czym i ja — naiwny — miałem okazję parokrotnie przeko-nać się. W swojej naiwności zresztą przygotowałem do pu-blikacji rejestr spraw, obciążających nie tylko MSW, ale i wymiar sprawiedliwości. Rejestr ten sporządzony został na podstawie skarg, w któ-rych rodziny poszkodowanych domagały się bezskutecznie uczciwego i rzetelnego wyjaś-nienia okoliczności śmierci swych bliskich, a w konsek-wencji — ukarania ich zabi-ójców. Nie wdając się w szczegóły, przypomnę tu cho-ciaż nazwiska ofiar, które — w udokumentowanej opinii

dnia o godz. 9.15 przesłuchi-wany przez milicjantów: Pa-jąka, Gosa, Majewskiego i Stokowskiego był tak zmaltretowany, że o godz. 10.40 nastąpił jego zgon. W proto-kole sekcji zwłok stwierdzo-no, że Gidelski miał „rozer-waną śledzionę, wylew krwi do jamy otrzewnej, wylew krwi pod oponę twardą i opony miękkie mózgu oraz szereg obrażeń zadanych pal-ką milicyjną”. Prokurator Woźniak umorzył śledztwo „z powodu niewykrycia spraw-ców”.

Piotr Lukaszewicz, lat 22, zamordowany w 1978 r., sygn. akt Prokuratury Wojewódz-

## II.

Na wiosnę 1981 roku zwró-ciła się do mnie o pomoc Ze-nobia Lukaszewicz — matka Piotra — która przeczytawszy kilka moich reportaży, uznała widocznie, że odważę się podjąć i ten temat. Umó-wiliśmy się na spotkanie w piwnicy „U plastików”, skąd pociągnąłem za sobą „ogon” w postaci inwigilatora z SB. SB interesował bowiem nie tylko temat rozmowy, ale przede wszystkim sama roz-mówczyni, która we współ-pracy z KOR gromadziła do-wody milicyjnego bezprawia, utrzymywając stały kontakt z rodzinami ofiar, a także — wespół z nimi — podejmowa-ła kolejne próby publicznego ujawnienia zarejestrowanych przypadków i zmuszenia wy-miaru sprawiedliwości do wznowienia dochodzeń, zanie-chanych bądź umorzonych.

W pełni świadomy, w co się pakuję, przekazałem wkrótce po tej rozmowie Prokuratu-rze Wojewódzkiej w Łodzi oficjalne pismo z redakcji, zawierające prośbę o udostę-pnienie mi akt, dotyczących śmierci Jana Kowalczyka, Zbigniewa Gidelskiego, Pio-tra Lukaszewicza i Andrzeja Paryskiego. O pismo to miał potem do mnie pretensje mój ówczesny redaktor naczelny, wobec którego rzeczywiście popełniłem swoją nielojal-ność, umieszczając w piśmie tylko i wyłącznie sygnatury akt. Moja akcja wywołała natychmiastową reakcję — najprawdziwszą burzę, której echo odzywało się przez kilka miesięcy. Tak czy ina-czej, oficjalna droga repor-terskich poszukiwań została przede mną jednoznacznie zamknięta, miałem już prze-ciwno sobie prokuraturę, mi-licję, cenzurę, a i własnego szefa, zbierałem więc materiał nieoficjalnie, bez większej zresztą nadziei na jego pu-blikację, wkrótce zresztą ge-nerał Wojciech Jaruzelski wy-powiedział wojnę wszystkim takim jak ja...

## III.

Z zeznań Grażyny Lukaszewicz:

„Jestem siostrą Piotra Lu-kaszewicza (...) W dniu 26.10.78 r. powróciłam do domu ok. godz. 21.00. Stwierdziłam, że brat Piotr spał u siebie w pokoju leżąc na łóżku (...) zobaczyłam, że na kaloryferze jest przewieszona brata ko-szula, a w łazience jest woda w palce. Uznałam, że przed położeniem się spać (...) Po go-dzinie 24.00 przyszli do nasze-go mieszkania dwaj funkcyj-nariusze MO w ubraniach cy-wilnych, którym ja otworzy-łam drzwi. Pokazali oni swoje znaczki milicyjne, a jeden z nich na moje żądanie okazał mi swoją legitymację służbo-wą, z której zapamiętałam charakterystyczne nazwisko „Pająk” (...). Jeden z milicjan-tów doszedł do brata i zaczął

go budzić, rzu-cił mi i ściągając podłogę. Ja u-pytałam się, o co milicjanci chcą, który pokazy-macie służbową powieści, że ta, jest dorosły, bił, to jest je-dy brat znajo-my podłogę, nie o-jakby spał nad-dział do milic-ji przyszli później nych przyjdzie. W każdym razie do nich, że to głowa. Milicjan-słuchali tego i szedł na dół p-ejonariuszy, g-d brać brata z m-Następnie w m-milicjanci (cz-e brata z mies-jąc jego odz- Nie pomyślałem powodem takiego mógł być spoży-alkohol, a to il-alkohol pił spo-den z milicj-mnie, czy brat-często. Odpowe-i ja nigdy br-tam pijanego”.

Z zeznań Ireny „Mieszkam moje okna w Bracką (...) w-mencie zobaczył moim oknem-samochód, p-marki „Nysa” snoszarym. Nie-nych najdłużs-Mięto ok. 10-tym czasie zob-od bloku, g-lu-Lukaszewicz, id-do „Nysy” cierz-ni z tym, że d-cywilnych ub-jakiegoś młode-który był rozb-na sobie tyk-Trzeci mężczy-cywilnym mł-dzień (...) Nie-na prowadzeni-nie nietrzeźwym-trzeźwy zatac-by wleczony (...) „Nysy” zosta-rzone tylne d-który dowleki-czyrnie, wrzuci-samochodu i z-drzwi (...) Po-tych (...) b-rzeźniczym do-ze milicja z-któregoś m-który był rozb-Z własnej inie-się do mieszka-obecnie p. Luka-wiedziałam je-zdarzenie zabra-przez milicję e-Zgłosiłam się s-być świadkiem-wie”.

Z zeznań Zdzisława „Jestem funk-cjonalnego PRL—Bałuty (...) c-Prusak, równ-Wydz. Krymii-smy się do mi-lukaszewicza na-W samochodzie-kierowcy Lesz-drugi kierowca

# Mordercy w niebieskich mundurach

JACEK INDELAJ

szli po niego w nocy, wywle-ki z łózka. Nigdy już tu nie wrócił. Matka po pięciu dniach poszukiwań odebrała zwłoki ze szpitala. W pokoju bawi się maly Adas. Czy on też będzie kiedyś odczuwał strach na widok niebieskiego munduru?

## I.

Zadziwiać może ich świet-ne samopoczucie. Zachowują się tak, jakby zawsze byli za demokracją, jakby nigdy nie stawali ponad prawem i ponad narodem, który tylko z głupoty ukął slogan: „mili-cjant to nie zawod, to cha-akter”. I dziwię się, że widok niebieskiego munduru wywołuje wciąż u wielu z nas bojaźń i odrazę, że wielu z nas jakos nie może uwie-rzyć, że zmiennawidzone fur-gonetki i radiowozy przesyła-ły już wozić tępych i butnych milicjantów, zapelniając się z dnia na dzień dobrodusznymi, zyczliwymi policjantami.

W połowie lat siedemdziesiątych żona jednego z dzien-nikarzy „Głosu Robotniczego” poprosiła mnie o pomoc dla niego. Pojechałem natych-miast na oddział chirurgii u-razowej Szpitala im. Jons-ehera. Pamiętam potworne wylewy okularowe, sinice i wybroczyny, pogruchołaną szczerkę. Pobili go w podłódz-kim Słowiku miejscowi chu-ligani w niebieskich mundu-rach. I pamiętam jego strach, bo opuścili go wszyscy, a mi-licja — przeczornie — posta-nowiła wytoczyć mu sprawę o napaść na funkcjonariuszy MO. W parę lat później ko-lega ze starych „Odgłosów” napadnięty został wieczorem w centrum Łodzi przez mili-cyjny patrol. Nie dość, że go pobili, to jeszcze zdruzgotali mu buciaskami protezę ręki.

Działo się to w połowie 1981 roku, a więc w okresie, który — na kilkanaście mie-sięcy — ograniczył w dużym stopniu wszechwładzę mili-cji. Ograniczenie to jednak występowało bardziej w oka-

skarżących się — poniosły śmierć z rąk morderców w niebieskich mundurach: Ire-neusz Kuchta i Jan Wójcik ze Śląska, Roman Mielczarek z Zawiercia, Kazimierz Bru-decki z Rogóżna, Andrzej Wojciechowski ze Słupska, Eugeniusz Maziec z Poznań-skiego, Ryszard Mikołajczyk z Kallsza, Władysław Graca z Żywca, Czesław Scigaj z Ciśca, Kazimierz Kwiek z Siemichowa k. Krakowa, Leszek Gąsiorowski ze wsi Łąki k. Nałęczowa, Daniel Grzegorzczak z Dalikowa k. Poddebie, Jan Kowalczyk, Zbigniew Gidelski, Piotr Lu-kaszewicz i Andrzej Paryski z Łodzi.

Łódzkie przypadki tak oto zostały opisane w zbiorowej petycji ze stycznia 1981 roku do Prokuratora Generalnego PRL. Przytaczam in extenso:

„Jan Kowalczyk, lat 27, sygn. akt Prokuratury Woje-wódzkiej w Łodzi II Ds. 67/78. Kowalczyk udał się do Komendy Łódź-Bałuty na wez-wanie prosto z pracy. Przez dwie i pół doby Jan Kowal-czyk był tam nieludsko maltretowany (sekcja zwłok wy-kazała m.in. pęknięcie serca i wątroby), a następnie jego ciało zostało przewiezione nocą pod blok, w którym na X piętrze mieszka konfidentka MO i jednocześnie przyjaciółka Pająka (milicjanta z Komendy Bałuty), w celu wyrzucenia go z X piętra i stworzenia w ten sposób pozorów wypadku bądź samo-bójstwa Kowalczyka. Zamiar ten nie został zrealizowany, ponieważ mordercy zostali spłoszeni przez mieszkańca tego bloku. Pozostawili ciało przed klatką schodową i zbiegli.

Zbigniew Gidelski, lat 40, sygn. akt Prokuratury Woje-wódzkiej w Łodzi II Ds. 46/77. Zabraný z ulicy jako współ-uczestnik rzekomego rozboju dokonanego trzy dni wcześ-niej. Osadzony w areszcie Komendy MO Łódź-Bałuty 29 lipca 1977 r. Następnego

kiej w Łodzi II Ds. 95/78. 26 października 1978 tuż przed północą został wywleczony przez milicjantów: Pająka, Prusaka, Durysa i Wojtczaka z własnego łózka, bez okre-szonej potrzeby, i pomimo te-go że sygnalizował im ciężką chorobę (tętniak w głowie) w upokarzający sposób dowle-czony został do samochodu, a następnie z rozmachem wrzucony do jego wnętrza. Zawieszony do Komendy MO Łódź-Bałuty został pobity, zabrano mu dokumenty, a następnie jako osobę niez-identyfikowaną usiłowano podrzucić go do Izby Wytrzeź-wień. Lekarz dyżurny Izby po stwierdzeniu, że Lukaszewicz nie jest pod wpływem alkoholu, lecz jest sparaliżo-wany i głęboko nieprzytomny, zarządził przewiezienie go do szpitala. Przez pięć dni ro-dzina nie mogła ustalić, gdzie przebywa Piotr Lukaszewicz. Prokurator wyjaśnił to na-stępująco: „fakt niepowiado-mienia rodziny przez 5 dni może być oceniany jedynie w kategorii indywidualnego odczucia takiej potrzeby”. Śledztwo zostało umorzone przez prokuratora Krzysztofa Nawrockiego z „powodu nie-zaistnienia przestępstwa”.

Andrzej Paryski, lat 30, sygn. akt Prokuratury Woje-wódzkiej w Łodzi II Ds. 30/79. Zatrzymany pod pretekstem prowadzenia taksówki zarob-kowej w stanie nietrzeźwym i osadzony w areszcie Komendy MO Łódź-Bałuty w marcu 1979 r. „dogadał się” z mili-cjantami, że za kwotę 10 tys. zł dokumenty zostaną mu zwrócone. Ponieważ w okre-szonym czasie nie wywiązał się ze zobowiązania, około godz. 1-ej w nocy zabrano go z własnego łózka i więcej do domu nie wrócił. Obraże-nia, jakich doznał Paryski, według oświadczenia mili-cjantów były wynikiem ataku padaczkowego. Prokurator Woźniak umorzył śledztwo „wo-bec nieświadczenia przestęp-stwa”...



...jąc go za r-  
... z łózka na  
... wtedy zaczęłam  
... chodzi i co mi-  
... brata. Ten,  
... mi legity-  
... t.j. Pająk od-  
... brat ma 22 la-  
... i to, co zro-  
... sprawa. Kie-  
... dawał się już na-  
... wierzał oczu,  
... adal, ale powie-  
... licantów, żeby  
... lub że on do  
... później sam-  
... powiedział  
... go bardzo  
... jednak nie  
... jeden z nich  
... dwóch funk-  
... chcieli za-  
... mieszkania siłą,  
... obecności  
... (wzrost) wynieśli  
... z łóżka, zabiera-  
... i buty (...)  
... jednak, że  
... zachowania  
... przez brata  
... dlatego, że brat  
... bradycznie. Je-  
... zapytał  
... tak upija się  
... działam, że nie  
... nie widzia-

rys. Wejście do mieszkania otworzyła nam jakaś dziewczyna w okularach, jak się później okazało, była to siostra P. Łukasiewicza (...). Na nasze pytanie, czy zastaliśmy jej brata, powiedziała ona, że brat jest w swoim pokoju i jest pijany (...). Sposób mówienia przez Łukasiewicza był dla mnie charakterystyczny dla osoby będącej w stanie znacznej nietrzeźwości. Dodaje jeszcze, że kiedy nachylałem się nad Łukasiewiczem, czułem od niego wyraźny zapach alkoholu (...). W mieszkaniu pozostał się insp. Prusak. Po chwili wróciłem do mieszkania razem z Wojtczakiem i Duryssem (...). W pozycji leżącej wynieśliśmy Łukasiewicza z mieszkania i znieśliśmy go po schodach. Zabrałiśmy też ubranie Łukasiewicza. Na dole przed blokiem Łukasiewicz powiedział do nas, że on dalej pojedzie sam, w związku z czym postawiliśmy go na nogach (...). W momencie odjeżdżania spod bloku ja i Prusak zdecydowaliśmy, że ze względu na stan nietrzeźwy zawieziemy go do Izby Wyrzeźwień (...). Po tym pojechaliśmy do Izby Wyrzeźwień. Prostuje, po tym pojechaliśmy do Komendy Łódź-Bałuty i ja oraz Stańczak, Prusak i Kulicki wysiedliśmy z „Nysy” i udaliśmy się do budynku Komendy. Łukasiewicz, który pozostał w „Nysie”, został zabrany przez Kurowskiego i obu kierowców t.j. Wojtczaka i Durysa do Izby Wyrzeźwień. Po pewnym czasie zatelefonował Wojtczak do Komendy i poinformował mnie, że lekarz Izby nie chce przyjąć Łukasiewicza.”

Z zeznań Jerzego Wertele, milicjanta pełniącego dyżur w Izbie Wyrzeźwień: „Został on wniesiony do Izby przez funkcjonariuszy i ponieważ był taki bezwładny, został ułożony na linoleum.”

Z zeznań lekarza dyżurnego Tadeusza Rogowskiego: „Został on wniesiony do Izby przez trzech funkcyjariuszów i był rozebrany. Jeszcze przed przystąpieniem do badania lekarskiego zauważyłem u dowiezionego bezwładne opadanie lewej kończyny górnej i dolnej. Następnie w trakcie badania lekarskiego stwierdziłem u niego brak zapachu alkoholu z ust. Dalszym badaniem stwierdziłem nierówność źrenic. Prawa źrenica była szeroka, nie reagująca na światło. Ponadto objawy lewostronnego porażenia połowicznego ciała.”

Z zeznań Grażyny Łukasiewicz: „O zabraniu z mieszkania brata przez milicjantów powiadomiłam w dniu następnym mojego ojca Zdzisława Łukasiewicza, który zaczął robić ustalenia, gdzie brat przebywa i po co został zatrzymany. Ojciec ustalił, że brat nie został osadzony w żadnym areszcie, żadnej z komend dzielnicowych i nie został osadzony w areszcie KW MO w Łodzi. Ja natomiast dla całkowitego spraw-

dzenia wszystkich możliwości telefonowałam osobiście do Izby Wyrzeźwień, gdzie uzyskałam informację, że brat tam nie przebywał.”

Z zeznań Jerzego Wertele: „Zażądałem, żeby Wojtczak wypełnił dla Łukasiewicza kartę przyjęcia do Izby. Wojtczak zaczął ją wypełniać wypisując, że Łukasiewicz został zatrzymany w miejscu zamieszkania. Następnie Wojtczak chciał kartę podpisać, ale ja mu zwróciłem uwagę, że nie wie, co ma wpisać, gdyż nie on zatrzymywał Łukasiewicza. Wpisu nie zakończył. Na moją interwencję około godz. 2.00 (w nocy — przyp. J.I.) przybyli do Izby funkcjonariusze, którzy zatrzymywali Łukasiewicza (t.j. Pająk i Prusak — przyp. J. I.) i oni mieli dokończyć zapisy w karcie przyjęcia. Również i oni nie wiedzieli, jak kartę wypełnić, gdyż przed zatrzymaniem Łukasiewicz nie znajdował się w stanie nietrzeźwym w miejscu publicznym, tylko był w domu, a nadto nie awanturował się. Ostatecznie nie do karty nie wpisali i pozostawili ją na miejscu.”

Z zeznań lekarza dyżurnego Szpitala im. Barlickiego w Łodzi, Andrzeja Dolińskiego: „Przewieziony z podejrzeniem krwawienia wewnątrzczaszkowego (...) Był w stanie dość ciężkim, przymroczony.”

Ze skargi Zenobii Łukasiewicz: „Wszystkie prokuratury, komendy MO i areszty na terenie m. Łodzi nic o moim synu nie wiedziały, wtedy udałam się do Prokuratury Rejonowej na ul. Ciesielską, aby złożyć wniosek o wszczęcie poszukiwań mojego syna (...). Wtedy córka moja (...) przypomniała sobie, że było to nazwisko „Pająk”. I to był pierwszy ślad, który doprowadził do ustalenia sprawców mojej tragedii. Jak się okazało, zbir o takim nazwisku pracuje w KD MO Łódź-Bałuty (...). Na polecenie pana prok. Krakowiaka w dniu 31 października 78 r. jakaś kobieta — oficer dochodzeniowy z KD MO Łódź-Bałuty, ustaliła, że syn mój przebywa w Szpitalu im. Barlickiego w Łodzi na Oddziale Neurochirurgii (...). Udałam się więc do lekarza, który oświadczył mi, że syn mój właściwie już nie żyje, że od dycha za niego aparat i tylko aktu zgonu jeszcze nie wystawili. Następnie oświadczył mi, że syn został dowlezionej z Izby Wyrzeźwień, że milicjanci przypadkowo trafili na taki jego stan chorobowy, gdyż przyszli sprawdzić jego dokumenty, ponieważ ktoś, gdzieś posłużył się jego dowodem osobistym. Powiedziałam wówczas lekarzowi (w obecności wielu osób) iż faktem jest, że mojemu synowi — kiedy w m-cu czerwca hr. przebywał krótko na Węgrzech — skradziono dowód osobisty i inne dokumenty (...). Tego dnia tj. 31 października jeszcze dwukrotnie byłam w szpitalu z rodziną i za każdym razem nie domuszałam nas do łóżka syna (...). Na

Oddz. Neurochirurgii zostawiłam swój numer telefonu — prosząc o jakąkolwiek wiadomość bez względu na porę (...). Kiedy udałam się wraz z rodziną do szpitala ok. godz. 14.00 lekarz poinformował nas, że syn zmarł w dniu 1 listopada o godz. 7.00 (...). W dniu 3 listopada złożyłam skargę w Prokuraturze Wojewódzkiej dla m. Łodzi o wszczęcie śledztwa przeciwko mordercom mojego syna. W dniu 16 listopada br., kiedy byłam przesłuchiwana w Prokuraturze Wojewódzkiej w charakterze świadka prokurator Nawrocki oświadczył: „Muszę pani uwierzyć w to, że syn zmarł na tętniaka mózgu”. Oświadczyłam mu wtedy, że to bzdura, że mój syn żyłby z całą pewnością, gdyby nie został w bestialski sposób wleczony i pobity.”

Z postanowienia o umorzeniu śledztwa, podpisanego przez wiceprokuratora Krzysztofa Nawrockiego:

„Piotr Łukasiewicz zmarł śmiercią naturalną, nie był pobity, nie doznał żadnych urazów mających jakikolwiek związek z jego śmiercią, a funkcjonariusze z KD MO Łódź-Bałuty dokonujący zatrzymania Łukasiewicza działali w granicach swych uprawnień i nie dopuścili się żadnych czynów wobec Łukasiewicza, które by miały skutkować ich odpowiedzialnością karną czy nawet służbową.”

Dodam, że na tym etapie Pająk i jego kompani doznali już ośnienia: znali powód zatrzymania zmarłego, mianowicie jego udział w... gwałcie, na którą to okoliczność przeprowadzili — ex post — śledztwo, wzbudzające zresztą równie wiele wątpliwości, co dochodzenia w sprawie śmierci Piotra Łukasiewicza.

IV.

— W przypadku mojego syna — wyjaśniała mi przed laty Zenobia Łukasiewicz — jego oprawcy zadali sobie sporo trudu, żeby pozacierać ślady. Nie wiadomo zresztą, czy nie odnieśliby pełnego sukcesu, gdyby nie przypadek: córka zażądała legitymacji Pająka i zapamiętała nazwisko. Sam Pająk, na co mam świadków, był pijany, co dla nich było typowe. Pili na służbie na umór, często więc prowokowane przez nich zdarzenia wymykały się im spod kontroli. W przypadku Piotra mogli — na przykład — napćić go bądź chociaż polać wodą, co było przecież sprawdzonym sposobem. Mieli na pewno poczucie zupełnej bezkarności, z drugiej jednak strony Pająk nie mógł nie pamiętać, że przeciw niemu i jego kompanom z bałuckiej komendy toczy się wciąż śledztwo o morderstwo popełnione na innej ich ofierze, Zbigniewie Gidelskim...”

Przyjrzyjmy się przez chwilę i tamtej sprawie. Cytuję z dokumentów śledztwa: „Julian Majewski, Zdzisław Pająk, Grzegorz Stokowski i

Bernard Gos — stanęli pod zarzutem dokonania przestępstwa przewidzianego w art. 156 § 3 KK, to jest o to, że:

W dniu 30 lipca 1977 r. w Łodzi, jako funkcjonariusze Komendy Dzielnicowej Milicji Obywatelskiej Łódź-Bałuty, w toku prowadzonej rozmowy ze Zbigniewem Gidelskim podejrzanym o dokonanie rozboju w sprawie Dz. KB — 4476/77, działając wspólnie, pobili go pałką służbową i pięściami po całym ciele, w wyniku czego doznał on rozerwania śledziony, a następnie wylewu krwi do jamy otrzewnej oraz wylewu krwi pod oponę twardą i opony miękkie mózgu, a nadto innych obrażeń ciała, co w konsekwencji spowodowało jego zgon”.

Śledztwo wykazało:

„W dniu 30 lipca 1977 r. o godz. 9.15 Zbigniew Gidelski został zabrany z aresztu na przesłuchanie do Wydziału Kryminalnego. Pobierającym był funkcjonariusz Wydziału Bernard Gos, który doprowadził Gidelskiego do pokoju nr 46 tejże KD MO, w którym urzędowali funkcjonariusze: Julian Majewski, Zdzisław Pająk, Grzegorz Stokowski i Bernard Gos (...). W toku prowadzonej rozmowy — Zbigniew Gidelski przyznał się do udziału w rozboju i miał w tej mierze własnoręcznie sporządzić oświadczenie. Jednakże ze względu na drżenie rąk i uskarżanie się na ból serca — do napisania tego oświadczenia nie doszło.

W czasie tych czynności Zbigniew Gidelski począł uskarżać się na ból serca i o godz. 10.30 funkcjonariusze MO wezwali pogotowie ratunkowe, które przybyło do Komendy MO — Bałuty o godz. 10.51. Lekarz pogotowia Krystyna Andrzejewska-Witkowska przystąpiła do udzielania Zb. Gidelskiemu pomocy, mimo której nastąpił zgon zatrzymanego o godz. 11.40”.

Selekcja zwłok wykazała, że... „szereg stwierdzonych na ciele Gidelskiego obrażeń wskazuje, że zostały zadane przy pomocy pałki milicyjnej — co wyklucza udział osób zatrzymanych w celu; a tym bardziej prawdopodobny (jest) udział w pobiciu funkcjonariuszy Wydziału Kryminalnego przesłuchujących Gidelskiego. Zaden z nich jednak nie przyznał się do udziału w pobiciu Gidelskiego...”

I to właśnie nakłoniło prokuratora Michała Woźniaka do umorzenia — po półtora roku — śledztwa. W uzasadnieniu swego orzeczenia wyjaśnił, jakby na ironię:

„W tym stanie rzeczy nie sposób jest ustalić — nawet w przypadku przyjęcia, że Gidelski został pobity i doznał obrażeń w czasie przesłuchania — czy wszyscy podejrzeni bili Gidelskiego, czy też niektórzy z nich, a jeśli tak, to którzy?”

**W** latach 1929—1933 nastąpił gwałtowny spadek produkcji przemysłowej. Pojawili się rzesze ludzi poszukujących pracy. Fabryki zaczęły zamykać, albo radykalnie ograniczać produkcję, tacy potentaci jak K. Scheibler, L. Grohman, I. Geyer, I. K. Poznański nie wspominając już o wielu mniejszych. Recesja dotknęła również przemysł budowlany, ceramiczny, metalowy, chemiczny i inne. W Łodzi w roku 1939 było około 90.000 osób stale pozbawionych pracy.

Władze lokalne podejmowały szereg działań zmierzających do ograniczenia bezrobocia. 27 stycznia 1930 roku powołano do życia Komitet Niesienia Pomocy Najbiedniejszym, którego celem było zgromadzenie ze składek społecznych odpowiednich funduszy na walkę z bezrobociem i nędzą. Przyznano też wówczas Łodzi subwencję rządową w wysokości 1.127.293 zł. Nadzór z ramienia rządu RP nad działalnością komitetu sprawowali minister pracy i opieki społecznej — Aleksander Prystor oraz minister przemysłu i handlu — Eugeniusz Kwiatkowski. W skład komitetu weszli przedstawiciele wszystkich odłamów łódzkiego społeczeństwa i oficjalnych instytucji.

Działalnością komitet objął Łódź, Pabianice, Tomaszów Mazowiecki, Zgierz, Aleksandrów, Piotrków Trybunalski i Zduńską Wolę. Funkcjonował krótko, albowiem 30 września 1931 roku przekształcił się (zgodnie z uchwałą Rady Ministrów z 26.09.1931 r.) w Komitet do Spraw Bezrobocia.

W okresie od 27.01.1930 r. do 30.09.1931 r. wypłacono 9.000 rodzinom bezrobotnych (licząc samotne osoby jako rodzinę) zasiłki pieniężne na sumę 616.185 zł, zorganizowano dożywianie dla 12.500 dzieci — uczniów szkół powszechnych, zawodowych i średnich oraz wprowadzono dożywianie niemowląt. Komitet zorganizował kolonie letnie dla 3.500 dzieci zagrożonych gruźlicą. Łodzianie nie szczędzili pieniędzy wpłacając na konto Komitetu Niesienia Pomocy Najbiedniejszym w okresie jego istnienia 97.277,95 zł oraz gromadząc 32 wagony zbóż.

Wojewódzki Komitet do Spraw Bezrobocia ukonstytuował się 2 października 1931 roku. Na czele 34-osobowego prezydium stanął ówczesny wojewoda łódzki Władysław Jaszczółt. Komitet składał się z 7 sekcji: organizacyjnej, finansowej, pomocy, dożywiania dzieci, pracy, pomocy lekarskiej, kolonii letnich. Powołano Komisję Kontrolną. Sekcje pełniły funkcje organów doradczych i opiniotwórczych dla prezydium. Komitet Wojewódzki powołał Komitet Grodzki w Łodzi, 2 grodzkie podkomitety (w Tomaszowie Mazowieckim i Pabianicach), 12 komitetów powiatowych i 236 komitetów gminnych.

Komitet Wojewódzki wydał specjalne kalendarzyki kieszonkowe propagujące cele walki z bezrobociem w nakładzie 50.000 egzemplarzy, a do interesujących inicjatyw zaliczyć należy tzw. akcję bonową prowadzoną

w okresie Bożego Narodzenia i Świąt Wielkanocnych. Akcja ta polegała na tym, iż komisariaty policji sporządzały listę osób najbardziej potrzebujących pomocy, a następnie policjanci wręczali — w imieniu komitetu — paczki z żywnością lub bony żywnościowe, które można było realizować w sklepach „Społem”. Najbardziej rozpowszechnioną formą było masowe, systematyczne dożywianie. Nie posiadając własnej kuchni Komitet do Spraw Bezrobocia nawiązał kontakty z organizacjami społecznymi takimi jak np. Związek Inwalidów, Straż Ogniowa, Związek Strzelecki, Stowarzyszenie Techników, Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet, Rodzina Policyjna, Polska YMCA, Żydowskie Stowarzyszenie „Nosem Lechem”, Akcja Katolicka. Organizacje te wydawały codziennie posiłki (obiady), z których tylko w latach 1930—1932 skorzystało 78.000 osób (438.732 obiady miesięcznie).

W jednym ze sprawozdań Komitetu znajdujemy następującą relację:

## Jak przed wojną w Łodzi walczone z bezrobociem

JAN JANIĄK

„Spośród ofiar gołówekowych największą pozycję tworzą składki pochodzące z dobrowolnego opodatkowania się pracowników i robotników; stosunkowo zaś najmniejszą — wolnych zawodów. Wielką ofiarnością na rzecz pomocy bezrobotnym, mimo najdotkliwiej odczuwanego kryzysu, odznaczali się rolnicy. Zwraca również uwagę ofiarności policji państwowej, której funkcjonariusze pierwsi pospieszyli ze składkami na rzecz bezrobotnych zachęcając swym przykładem inne dekanacie urzędnicze”.

Komitet Wojewódzki i Komitet Grodzki wykazywały wiele inicjatyw w poszukiwaniu finansowych źródeł wspomaganie ludzi pozbawionych pracy. Podjęmowano takie akcje, jak np. kwesty uliczne, kwesty w lokalach publicznych i wśród mieszkańców zamożniejszych dzielnic, a nawet kamienie. Nierzadką formą pomocy była akcja dożywiania młodzieży prowadzona przez właścicieli prywatnych posesji, którzy oferowali bezpłatne obiady. Okresowo prowadzono zbiórkę bielizny, ubrań, obuwi. Skuteczną formą okazało się stałe opodatkowanie na rzecz bezrobotnych ze strony zawodowych oficerów i podoficerów wojska i policji, sędziów, prokuratorów, urzędników państwowych, pracowników instytucji ubezpieczeń społecznych, właścicieli prywatnych zakładów usługowych i członków stowarzyszeń przemysłowo-handlowych. Na fundusz dla bezrobotnych zostały także opodatkowane bilety do kin i teatrów, a dużym sukcesem okazało się

zorganizowanie bezpłatnej pomocy lekarskiej.

Rozporządzeniem prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej z 25.08.1932 roku powołany został Fundusz Pomocy Bezrobotnym, którego organizacja i zadania nie różniły się w istocie od funkcjonujących z powodzeniem wojewódzkich komitetów do spraw bezrobocia. Pieniądze przeznaczone na walkę ze skutkami tej największej klęski społecznej pochodziły nadal z dwu źródeł: z dotacji rządowych i dobrowolnych składek osób lub organizacji. Fundusze Ministerstwa Skarbu przeznaczone na akcje pomocy bezrobotnym pochodziły — co należy mocno podkreślić — z przymusowych świadczeń całego społeczeństwa. Były to: podatki od biletów wstępu na wszystkie bez wyjątku imprezy rozrywkowe, podatki ściągane z rachunków za elektryczność i gaz, podatki od sum wymienianych na tzw. kwitach komornianych, podatki pobierane od zakupu cukru, a także opłaty pobierane od osób przebywających w lokalach ga-

zatrudnienie wielu tysięcy bezrobotnych. W Łodzi znaleźli oni pracę przy takich inwestycjach jak: budowa drogi Łódź — Łągowieki, budowa gmachu YMCA (obecnie siedziba MDK), budowa drogi Łódź — Tomaszów Mazowiecki, modernizacja licznych jezdní, dróg i mostów, regulacja rzeki Ner, brukowanie ulic i placu w okolicach Dworca Kaliskiego, prace ziemne prowadzone na stadionie ŁKS.

Poszukiwano też możliwości zatrudnienia osób posiadających cenzus wyższego wykształcenia humanistycznego lub technicznego przy czynnościach lub w zawodach, w których posiadane kwalifikacje mogłyby być w jakimś przynajmniej stopniu wykorzystane. Zdecydowano, aby pracowników umysłowych zatrudniać w trzech zasadniczych formach: jako techników przy opracowywaniu programów robót publicznych, jako nadzorców tych prac, administratorów lub księgowych. Drugą formą było udzielanie inteligentom uprawnień do pobierania doraźnej zapomogi, ale pod warunkiem jej odpracowania. Formę tę stosowano jednak w stopniu dość ograniczonym.

Trzecim sposobem zatrudnienia bezrobotnych pracowników umysłowych było dotowanie tych instytucji lub urzędów, które we własnym zakresie znajdowały miejsca pracy dla tej grupy poszukujących jakiegokolwiek zajęcia. Fundusz Pracy przeznaczał na ten cel odpowiedni kredyt, który z kolei był wyłącznie przeznaczony na wypłatę zarobków netto zatrudnionym osobom. Świadczenia socjalne były pokrywane w całości przez instytucje, które prowadziły akcję przyjmowania do pracy bezrobotnych inteligentów.

Sytuacja tysięcy osób pozbawionych pracy była niezwykle trudna, ale dolegliwości nasilały się szczególnie w miesiącach zimowych. Dlatego powołano odrębną organizację, jaką był Obywatelski Komitet Zimowej Pomocy Bezrobotnym, który po długich staraniach wymógł na odpowiednich władzach wprowadzenie przymusowych świadczeń na pomoc zimową. W przypadkach uchylania się instytucji lub osób prywatnych od tego rodzaju zobowiązań stosowano przede wszystkim „sankcje moralne przez urabianie opinii społecznej przeciwko uchylającym się”. Pomoc zimowa sprawowała się przede wszystkim do darmowego rozdawania takich produktów żywnościowych lub przemysłowych jak np. chleb, mieszanka kawowo-cukrowa, kasza, groch, mąka, słonina, mydło i węgiel.

Historia walki z bezrobociem, głodem i nędzą w Łodzi nie została jeszcze napisana, ale powstaje pytanie o to, na ile wysiłki kilkuset ludzi zaangażowanych w pomoc dla tysięcy pozbawionych stałego źródła utrzymania przyniosły konkretne efekty, ilu rodzinom, ilu dzieciom udało się dzięki tej pomocy przeżyć miesiące, a może nawet lata. Historia walki z głodem i bezrobociem jest przecież jednocześnie historią ludzkiej solidarności.

## Co lepiej widać z Berlina niż z Warszawy?

Pierwsze stoiska i sklepy ze zdrową żywnością pojawiły się w Polsce kilka lat temu na fali rosnącego zainteresowania ekologią. I początkowo było o nich nawet dosyć głośno, jak o każdej nowości. Ostatnio jednak sprawa jakby przycichła, spowszedniała. Wydaje się — niesłusznie, gdyż problem zdrowego, racjonalnego odżywiania się jest bardzo ważny, a jego znaczenie w naszym stechnicyzowanym świecie będzie z pewnością rosło.

# Kupujcie Polnische Rose!

W Berlinie Zachodnim sklepy spod znaku „eko” — bo nie tylko spożywczych — jest około 70. Tak w każdym razie utrzymuje Barbara Kappauer — pracownica firmy „Immergrün”, mającej swą siedzibę prawie w samym centrum miasta, w pobliżu Anhalter Bahnhof. Firmy, która głównie zajmuje się właśnie handlem zdrową żywnością.

Założycielem i duszą „Immergrün” jest Dieter Kapischke — stosunkowo młody, długowłosy blondyn o łagodnym spojrzeniu intelektualisty i żyłastych dłoniach robotnika. Człowiek, którego tak wygląd, jak i postawa życiowa świadczą dobitnie, iż do tego, czym się zajmuje, trzeba mieć nie tylko wiedzę, zdolności i pieniądze, ale również — serce.

Zaczynał siedem lat temu, wkrótce po urodzeniu mu się synów — bliźniaków. Bo chociaż wcześniej już interesował się ekologią, dopiero wtedy naprawdę stanął przed problemem, jak zdrowo odżywiać się i żyć w zgodzie z naturą. Poszukując nie zatrutej chemikaliami żywności dla swoich dzieci, doszedł do wniosku, że skoro robi to dla jednej rodziny, może też — dla dziesiątek innych. I tak powstał sklep przy Hedemannstrasse 11, który oferuje dziś tak szeroki asorty-

ment produktów spożywczych, że porównując go z tym, co można znaleźć w naszych, zapiera po prostu dech.

Dominują oczywiście świeże warzywa i owoce oraz ich przetwory. Ale nie brak też rozmaitych artykułów zbożowych, kasz, miódów, a także lekarstw i tajemniczych (dla przeciętnego klienta) odżywek oraz preparatów, których spożywanie to ponoć samo zdrowie. Kto ma wątpliwości, może przekonać się, sięgając po leżące obok broszury reklamowe, gdzie wszystko wyjaśnione jest prosto, przejrzysto i naukowo — z typowo niemiecką pedanterią.

O ile materiały reklamowe są w „Immergrün” gratis, o tyle za żywność trzeba płacić tu dwu-, a nawet kilkakrotnie więcej niż na przykład w supermarketach sieci „Aldi”. Dlaczego? Ano dlatego, że jest zdrowa, czyli bez żadnych chemikaliów, a to wymaga dziś niemałego wysiłku i musi kosztować. Większość produktów pochodzi z upraw biodynamicznych w RFN i innych krajach zachodnioeuropejskich, wszystkie zaś posiadają atest, co można sprawdzić, jeśli ktoś ma wątpliwości. Nie jest to jednak na ogół czynione, gdyż ludzie dobrze wiedzą, że żaden szanujący się producent nie przyśle „trefnego” towaru. Prawa rynku są surowe —

gdyby tak zrobił, natychmiast zostałby z niego wyeliminowany.

Pomimo wysokich cen Dieter Kapischke nie robi kokosów i częściej chyba niż za biurkiem można go zastać przy noszeniu skrzynki. Po pierwsze dlatego, że sam musi płacić sporo za towar. Po drugie — ponieważ do „Immergrün” klienci nie wala wcale drzwiami i oknami. No cóż, nie wszystkich stać na zdrową, drogą żywność. Nie wszyscy też wierzą w jej działanie. Na szczęście ci, którzy już się przekonali, zagląдают tu w miarę regularnie. I to właśnie oni przede wszystkim dają Dieterowi zarobić, a co za tym idzie — dają mu poczucie, że jest potrzebny.

Wśród produktów polecanych przez sklep uwagę zwraca „Polnische Rose” — bogaty w witaminę C nektar z dzikiej róży zza Odry. I nie jest to jedyny polski akcent w „Immergrün” — przedsiębiorstwo, które obok handlu stawia również ostatnio na turystykę. Rzecz jasna — turystykę ekologiczną. Między innymi — do Polski.

— Chcemy nie tylko przybliżyć wasz kraj Niemcom — mówi Barbara Kappauer — ale także zacieśnić dzięki temu nasze kontakty handlowe. Wiedzimy tu wielkie możliwości,

gdyż Polska jest potencjalnie dużym producentem zdrowej żywności, którą można by sprzedawać tak w Berlinie, jak innych krajach Zachodu, czym chcielibyśmy się zająć. Na razie jest to dosyć trudne, ponieważ wokół problemu narosło wiele mitów i przesądów, jak choćby ten, że środowisko naturalne jest u was doszczętnie zdewastowane, czy też — że Polska ma tak wielkie trudności z wyżywieniem swoich mieszkańców, iż zabieranie im żywności i sprzedawanie na Zachodzie byłoby nieetyczne. I właśnie poprzez turystykę mamy zamiar te przesady powoli obalać.

To prawda — Polska może stać się liczącym w Europie producentem zdrowej żywności, a jej eksport — przynosić niemałe zyski. Smutne jednak, że lepiej widać to w Berlinie niż w Warszawie. No i rzeczywiście nie byłoby najlepiej, gdyby polską zdrową marchew łatwiej można kupić przy Hedemannstrasse niż przy Piotrkowskiej. A do tego może dojść już wkrótce, jeśli nie się u nas nie zmieni. Dieter Kapischke spodziewa się właśnie pierwszych dostaw.

**PAWEŁ  
TOMASZEWSKI**

Chcesz wyglądać elegancko?

Modny sweter, atrakcyjną sukienkę  
i inne wyroby z wełny lub anilany

**K U P I S Z T A N I O**

w SKLEPACH FIRMOWYCH

**ZAKŁADÓW PRZEMYSŁU  
DZIEWIARSKIEGO**

**„I W O N A”**

Łódź, ul. Sienkiewicza 65  
ul. Gdańska 57

o r z z

**NA KIERMASZACH**

organizowanych przy

ul. Gdańskiej 79, ul. Dąbrowskiego 37.

Jednocześnie informujemy, że prowadzimy sprzedaż hurtową na dogodnych warunkach płatniczych dla wszystkich odbiorców.

Zgłoszenia przyjmuje dział zbytu: Łódź, ul. Sienkiewicza 65, tel. 36-80-85.

14/7

## Fakty

Pod względem liczby bezrobotnych Łódź plasuje się nad drugim miejscem w kraju. W Wojewódzkim Biurze Pracy w Łodzi zarejestrowanych jest 24.395 osób z tego 6.242 osoby, które nie pracowały do 3 miesięcy (są to osoby zarejestrowane po utracie pracy) w tym 3.251 ze zwolnień grupowych.

14.270 — stanowią osoby, które nie pracowały od 3 miesięcy do roku i 3.883, które nie pracowały powyżej roku. Zdaniem pracowników Wojewódzkiego Biura Pracy liczna grupa spośród zarejestrowanych, zainteresowana jest wyłącznie zasiłkiem i nie wykazuje najmniejszej ochoty do podjęcia pracy. Przedstawiane przez biuro oferty bądź od razu są przez nich odrzucane, bądź też samowolnie porzucają podjętą pracę już po kilku dniach. Z dziewięćdziesięciu osób skierowanych np. do prac interwencyjnych w Łódzkim Przedsiębiorstwie Ogrodniczym siedemdziesiąt po tygodniu porzuciło pracę, nie oddając pobranych narzędzi i odzieży roboczej. Zgodnie z ustawą jedyną konsekwencją, jaką można było z tego wyciągnąć, było pozbawienie prawa do pobierania zasiłku na okres miesiąca.

B. K. J.

## Opinie

Łódź, 25 czerwca 1990 r., godzina 14.00

Na korytarzu głośnie krzyki. Otwieram drzwi. Dwóch młodych świadków Jehowy stoi z przeproszającymi uśmiechami na ustach. Sąsiadka, emerytka wydziera się na całe gardło:

— Wynoście się, bo zawołam policję! Ja jestem uczciwą katoliczką! Jak śmieliście tu przyjść? Ze też kary boskiej nie ma na tę holotę! Powywieszać ich to walo!

Łódź, 26 czerwca 1990 r.

Przeprowadzam (z legitymacją dziennikarską w ręku) sondę. Pytam przypadkowych ludzi, co sądzą o homoseksualistach.

Starszy pan: — Ja bym całą tę holotę wyśiał na bezludną wyspę.

Pani w średnim wieku: — To są ludzie chorzy. Najlepiej zamknąć ich w zakładzie psychiatrycznym i poddać przymusowemu leczeniu.

Studentka: — Znam jednego homoseksualistę. To porządný człowiek, nie do niego nie mam. Nie obchodzą mnie jego upodobania seksualne. To jego sprawa.

Inna studentka: — Dziwię się, że tym ludziom pozwala się funkcjonować w normalnym społeczeństwie.

Uczeń zasadniczej szkoły zawodowej: — Pedał i Żydzi do gazu!

Idący obok niego kolega: — Popieram! Dobrze mówisz. Ja bym dołożył jeszcze czarnuchów.

### Co sądzimy o innowiercach?

Adwentysta w średnim wieku: — Wszystkie wyznania powinny zgodnie ze sobą współpracować dla dobra ludzkości.

Katoliczka (młoda): — Denerwuje mnie narzucanie komuś swojej woli i swoich poglądów, a mniejszości wyznaniowe w Polsce, głównie świadkowie Jehowy cały czas to robią. Przechodzą do domów obcych ludzi i agituja. Czasem mam ochotę zrzucić ich ze schodów.

Inna katoliczka: — Nasz kościół dąży do zjednoczenia wszystkich wyznań, wszyscy jesteśmy dziećmi tego samego Boga.

Protestant: — Często doświadczałem jako dziecko prześladowań ze strony rówieśników za to, że nie chodziłem z nimi na religię. Te wszystkie frazesy o tolerancji i współpracy różnych wyznań to bzdura.

Baptystka (młoda): — W podstawówce nie miałam życia. Koledzy dokuczali mi, bo nie chodziłam z nimi na religię. Mówili, że wyznaję „kocią wiarę”. Zmieniłam szkołę. Do dziś mam opory w przyznaniu się, że jestem baptystką. Chyba w końcu przejdę na katolicyzm. Dla świętego spokoju.

Bezwyznaniowiec: — Jest taka zasada: „Żyj, i pozwól żyć innym!”.

Zanotowała:

MAGDALENA  
GROCHOWALSKA

## Wspomnienie

W „Głosie Porannym” przeczytałem, że zmarł malarz Jan Łukasik. Nie znalazłem człowieka. Może go i kiedyś spotkałem w Klubie Dziennikarza, ale nie kojarzyłem nazwiska z osobą. A przecież coś nas łączyło. Jego obraz przedstawiający molo w Międzyzdrojach.

Obraz ten dostałem od Jurka Wilmańskiego. Dostałem mieszkanie i przydałby mi się jakiś obraz. Jurkowi był on niepotrzebny,

— Nie!  
— Dlaczego, nie? — zdziwił się.  
— Tak musi być. Tak chciał artysta.  
— Ale obraz jest krzywy i aż zęby boją, gdy się na to patrzy.  
— Nie można nic zmieniać, bo ten obraz ma legendę — zmyślałem na poczekaniu.  
— Jak legendę? — zaciekawil się.  
— To było tak. Malarz Jan Łukasik pojechał do Międzyzdrojów, aby tam wypoczy-

# Molo w Międzyzdrojach

wieć przyniósł któregoś dnia prostokąt opakowany papierem. W domu rozpakowałem i zobaczyłem, że przedstawia molo w Międzyzdrojach nieco zdeformowane jak to u współczesnych malarzy. Powiesiłem obraz nad tapczanem.

Przyszedł Henio, który wszystko potrafi.  
— Daj mi ten obraz — powiedział — to ci go poprawię, bo jest krzywy.

wać i malować. Szedł właśnie malować molo, gdy spotkał starego kolegę ze szkoły. Wtedy jeszcze nie wymyślili ustawy o godzinie 13 i poszli uczcić to spotkanie. Najpierw pięćdziesiątkę postawił kolega ze szkoły, potem malarz, zakąśli. Potem znów kolega ze szkoły, potem malarz i tak jeszcze raz. Ucałowali się z dubeltówki i malarz poszedł na molo. Rano budził się, patrzy, w kącie stoi obraz, ale na nim nie ma ani jednego człowieka. Wziął wtedy tekturki i namalował na nich ludzi i ponaklejał. Widzisz, o tu są naklejone te tekturki. Obraz był na wystawie. Jest w katalogu. I teraz nie można już nic zmienić, bo obraz będzie nieważny.

— Rozumiem — powiedział Henio. — Coś takiego, jak znaczek z felem. Rarytas.

Obraz wisiał. Przychodzili różni ludzie i dziwili się, czemu jest taki, a nie inny. Opowiadałem im wymyśloną legendę. W końcu sam w nią uwierzyłem. Miałem nawet napisać do artysty list z pytaniem, jak było naprawdę? Ale zwlekałem i dziś już nie napiszę. Niech więc ta legenda zostanie jako wspomnienie po artyście, którego nie znalazłem, a którego obraz wisi u mnie nad tapczanem.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

UWAGA  
RZEMIEŚLNICY!



## KOLORPLAST

bardzo dobrej jakości  
i najtańsza

### PASTA DRUKARSKA

— do wytwarzania  
trójwymiarowych nadruków na  
tkaninach i innych materiałach

do nabycia w każdej ilości w

ŁÓDZKICH ZAKŁADACH

CHEMICZNYCH

„ORGANIKA”.

93-531 Łódź, ul. Ciasna 21a

telefon: 84-85-60

telex: 88 04 99

ZAPRASZAMY!

12/7

## OGŁOSZENIA I REKLAMY

do

„ODGŁOSÓW”

przyjmuje także

BIURO OGŁOSZEŃ  
PRPIH „TWÓJ SUKCES”

bez dodatkowych kosztów!

Łódź, ul. Nawrot 1/4  
Tel. 74-64-88 tlx 885211

## ZAKŁADY

# „FAMID”

Łódź, ul. Wersalska 50

S P R Z E D A J A

po uzgodnionych cenach:

- ◀ IGLY DZIEWIARSKIE
- ◀ PŁASZCZKI
- ◀ NAPIEDY i
- ◀ STOŁY DO MASZYN SZYJĄCYCH.

Informacji udziela dział przygotowania produkcji. Tel. 55-79-48.

10/7

# Tropienie Ślepego Maksa

Rozmowa z JACKIEM INDELAKIEM.

— Udała się panu rzecz dość niezwykła: odnowienie tak z pozorów wyeksploatowanego gatunku, jak powieść lotrzykowska. „Szczury ze złego miasta” mają pomysłową architekturę, są nośne intelektualnie, a przy tym są pasjonującą lekturą.

— W zamysłu miała to być książka czysto faktograficzna, bez elementów fikcji. Od dawna interesowałem się legendą króla łódzkiego podziemia przestępczego, Maksa Bornsteina, zwanego Ślepym Maksem. W latach trzydziestych, a nawet wcześniej maczał on palce w każdej ciemnej sprawie w Łodzi.

— I postanowił pan zweryfikować legendę?

— Do końca mi się to nie udało, mimo iż przeryłem się przez dostępne archiwalia. Miałem do dyspozycji przetrzebione akta procesowe, wspomnienia świadków tamtych wydarzeń i prasę międzywojenną, dosłownie setki kilogramów żółtkłych gazet. Niestety, nie dotarłem do akt MSW. Maks Bornstein był konfidentem przedwojennej policji, jego dossier przejął Urząd Bezpieczeństwa. Kiedy zabierałem się do pracy nad książką, nie byłem już dziennikarzem „Odgłosów”, tylko wyrzuconym na bruk wrogiem ludowej władzy. Nie mogłem więc nawet marzyć o dotarciu do tych najważniejszych dokumentów.

— Mimo tego przeogromnego bogactwa materiałów? Podaje pan przecież adresy, nazwiska, daty... Prowadzi pan czytelnika z ogromnym znanstwem przez Łódź tamtej epoki.

— Daty, nazwiska, adresy są najczęściej prawdziwe. Kiedy w mojej powieści pada deszcz, to na pewno padał wtedy deszcz, korzystałem z danych meteorologicznych. Ceny produktów są aktualnymi cenami dnia. Zgromadziłem kilkanaście tysięcy fiszek posługując się długopisem i karteluzkami, niestety nie posiadam komputera. Ten materiał okazał się niedoskonały. Musiałem więc ostrożnie wesprzeć się także fikcją.

— Wyczuwam w pańskim głosie jakby nutkę żalu...

— Tak? Cóż, w pewnym sensie realia mnie pokonały. Nie mogłem odważyć się na książkę w pełni dokumentalną. Rozegrałem ją więc w płaszczyźnie prawdy i prawdopodobieństwa.

— I okazało się to niezwykle szczęśliwe. Pańskie medium powieściowe Aleksander Jeziorski, dziennikarz „IKCa” przypomina mi nieco jednego z najlepszych reporterów tamtych czasów, Konrada Wrzosa.

— Wybór takiej postaci pozwolił mi uniknąć wielu konstrukcyjnych pułapek. Pewnie pan spostrzegł, że prawie pominąłem wątek pracy. A przecież piszę o robotniczym mieście. Mogłem oczywiście zastosować ograne proporcje, ukazać proletariát fabryczny, ale nie o to mi chodziło. Wybrałem świat przestępczy oglądany przez ówczesne mass media. Te gazety były czytane. Tak się realizowała recepta na skuteczne dziennikarstwo. Czy jest to zarazem recepta na „czytadło”? Mam nadzieję, że tak odbiorą moją powieść czytelnicy. Choć jestem jednocześnie pewny, że chyba nie potrafię napisać prawdziwego czytadła.

— Sądzę, że jest to „czytadło”. Wróćmy jednak do wątku Ślepego Maksa. Czy jest pan wobec niego sprawiedliwy?

— Najtrudniej walczy się z mitem. Ślepy Maks był mitomanem, miałem okazję wejrzeć w jego pamiętniki, gdzie fikcja miesza się z potrzebą ukazania się w lepszym świetle. Niektórzy dali się na to nabrać. W 1946 r. „Express Ilustrowany” opublikował o nim materiał. Przedstawił tam Maksa jako bohatera walczącego z sanacją. Maks wystąpił jako ofiara niesprawiedliwego ustroju. Pod piórem łatwowiernego dziennikarza zabójstwo komisarsza policji nabrało nagłe aspekty polityczne. Trudno mi wyobrazić sobie tego mordercę jako człowieka ideowego.

— A jednak pańskie medium powieściowe jest zafascynowane tą postacią...

— Nie wyrzucam sobie, że obszedłem się z Maksem zbyt łagodnie, choć pominąłem całą masę opowieści, które obciążają go bezpośrednio, na przykład liczne morderstwa. Przedstawiłem tylko to, co mógł zweryfikować Aleksander Jeziorski prowadząc swoje dziennikarskie rozpoznania. A jeśli chodzi o moje osobiste doznania... Przymierzyszy się do tej legendarnej postaci, doznałem rozczarowania. Z mitem Maksa dobroczyńcy walczą fakty. Wystarczyła mała szpilka, aby pękł nadęty balon. Ślepy Maks nie jest postacią tragiczną, jest nią natomiast na pewno inspektor Zygmunt Nosek. I dlatego uważam, że moją książkę powinien przeczytać każdy policjant.

— No właśnie, a co ze sprawą Banku Handlowego? Ten wątek pozostał jakby zawieszony...

— Nie miałem obowiązku wyjaśnić wszystkich tajemnic Banku Handlowego w Łodzi przed rokiem 1936. Przyjąłem wersję najbardziej prawdopodobną w oparciu o analizę znanych mi faktów.

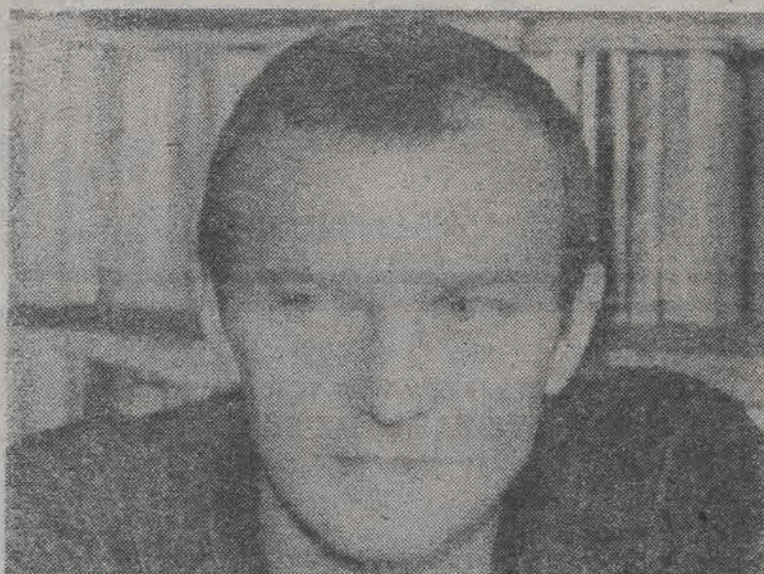


Foto: Zbigniew W. Nowak

— Wie pan co mi się w pańskiej książce bardzo nie podobało?

— ?

— Okładka. Tak już dziś nie powinno wydawać się książek, jest szara, bezbarwna. Czy miał pan jakiś wpływ na opracowanie plastyczne swojej książki?

— Autor nie ma na nic wpływu nie tylko w Wydawnictwie Łódzkim. Ani na kształt plastyczny, ani na reklamę. I nie wiem, czy się to kiedyś zmieni.

Rozmawiał:  
JERZY DARNAL

## POLIFARB ZAKŁADY FARB I LAKIERÓW w Łodzi, ul. 22 Lipca 100

P R O P O N U J A

handlowcom na korzystnych warunkach  
i wysokiej jakości:

- Farbę poliwinylową brązową do malowania blach cynkowych lub stalowych ocynkowanych.
- Farbę poliwinylową do gruntowania ogólnego stosowania w kolorze czerwonym tlenkowym do malowania antykorozyjnego powierzchni metalowych (maszyny, ogrodzenia, podwozia i nadwozia samochodów itp.)
- Emalię poliwinylową ogólnego stosowania czerwoną, jasną do malowania powierzchni z metalu, drewna, materiałów drewnopodobnych.
- Farbę chlorokauczkową „Chlorofix”, do zabezpieczania podwozi samochodowych, tixotropową (dająca grube powłoki z jednokrotnego pomalowania).
- Farbę do malowania eternitu.
- Wyroby chlorokauczkowe i poliwinylowe chemoodporne
- Emalie chlorokauczkowe okrętowe
- Emalię stalową.
- Emalię renowacyjną „Autorenołak”, do malowania karoserii samochodowych.
- Farbę emulsyjną „Polinit”.

CENY ZBYTU lub HURTOWE.

Opakowania drobne lub 10-, 20-, 50-litrowe

INFORMACJE:

Tel. 37-15-37, 33-23-90 telex 886392

3/7

**„FAKORA”**  
**FABRYKA KOTŁÓW I RADIATORÓW W ŁODZI**  
 jest producentem  
**GRZEJNIKÓW CO i KOTŁÓW CO**  
 na paliwa gazowe, płynne i stałe  
**PRODUKUJEMY**  
 — kotły na gaz ziemny KZ-4G  
 — kotły na paliwo płynne KZ-W  
 — kotły na paliwo stałe KZ-3K  
 — kotły na paliwo stałe KZ-5K (wodne parowe).  
 Kupującym za gotówkę udziela się 3% bonifikaty. Zapraszamy do  
 naszego zakładu przy ulicy Warnieńczyka 15, tel. 84-82-71 (zbyt).

**UWAGA! UWAGA!**  
**WAŻNE DLA WYJEZDZAJĄCYCH NA ZACHÓD!**  
**PAŃSTWOWY ZAKŁAD UBEZPIECZEŃ**  
**P R O P O N U J E**  
 obywatelom polskim wyjeżdżającym indywidualnie  
 lub zbiorowo  
**MIEDZYNARODOWE UBEZPIECZENIE**  
**KOSZTÓW LECZENIA**  
 we współpracy  
 z **BLUE CROSS and BLUE SHIELD NCA,**  
**USA (BCBS)**  
 w zakresie pokrycia kosztów leczenia na terenie  
 krajów nie będących członkami RWPG.

13/7

**UWAGA! UWAGA!**  
**UŻYTKOWNICY SAMOCHODÓW!**  
**FABRYKA OSPRZĘTU SAMOCHODOWEGO**  
**„POLMO”**  
 w Łodzi, ul. Przybyszewskiego 99  
**P O L E C A:**  
 — gaźniki  
 — pompy paliwa  
 — sprzężarki nowe i regenerowane do wszystkich pojazdów  
 produkowanych w Polsce  
 — części zamienne do tych pojazdów.  
 KUPIĆ JE MOŻNA  
 w **SKLEPIE FABRYCZNYM**  
 Łódź, ul. Kureczaki 130,  
 tel. 81-36-60, wew. 50

12/7

## Mordercy w niebieskich mundurach

V.

Matka Piotra Łukasiewicza po półrocznym pobyciu w ośrodku internowania w Gołdapi wyemigrowała, od 1983 roku mieszka w Chicago. Tęskni, zamierza wrócić do kraju. Gdyby Piotr żył, nie byłoby najpewniej w jej biografii ani Gołdapi, ani Chicago. Ot, jeszcze jeden polski życiorys.

— Mama dzwoni do mnie regularnie — mówi Grażyna Sidor. — Nie może zapomnieć o Piotrze. Byłam z jej polecenia u adwokata, by ten rozważył możliwość wznowienia śledztwa. Mecenas twierdzi, że to nie ma większego sensu, bo jeśli nawet proces dowiedzie, że to było morderstwo, mordercy pozostaną na wolności, bo to im ułatwi ogłoszenie w przeszłości amnestii. Mnie się jednak wydaje, że winę należy wykazać i napiętnować publicznie, dla zasady, bo przecież nie o zemstę, nie o odwet tu chodzi.

Trudno się zgodzić z taką opinią. Czas najwyższy, by każde morderstwo nazwać morderstwem, każdą kradzież kradzieżą, każde łajdactwo i podłość — łajdactwem i podłością, każdy przemyt przemytem, każdy wyzysk — wyzyskiem, każde kłamstwo kłamstwem, inaczej bowiem demoralizacja będzie postępować.

JACEK INDELAŁ

P.S. W rozmowie jeden z Czytelników, emerytowany milicjant, wyjaśnił mi tak oto, dlaczego wzrasta u nas przestępczość i spada wykrywalność przestępstw:

— Obniżenie się społecznej dyscypliny? Brak sprzętu i ludzi w policji? To tylko taka dymna zasłona, taki chwyt propagandowy, trudny zresztą do obalenia. Tak naprawdę są ważniejsze przyczyny. Pierwsza, że wielu byłych milicjantów uprawia coś na kształt biernego strajku: zachciało się wam demokracji? macie anarchię! Druga zaś, że od czasu, gdy organy ścigania znalazły się na cenzurowanym, ich funkcjonariusze boją się bić w śledztwie. A trudniej jest, proszę pana, znaleźć prawdziwego wampira, niż zrobić wampira z takiego mięczaka, jakim był ponoć Marchwicki.

Ciarki po grzbiecie biegają na myśl, że w opinii tej może być łut prawdy.

J. I.



### Optycy · Ajenci · Handlowcy!

PRZEDSIĘBIORSTWO OBROTU ARTYKUŁAMI FOTOOPTYCZNYMI



## FOTUOPTYKA

w ŁODZI, ul. PROCHNIKA 1

**OFERUJE DO NATYCHMIASTOWEJ  
SPRZEDAŻY:**

1. AUTOMATY SZLIFIERSKIE DO WYKONYWANIA OKULARÓW
2. TARCZE DIAMENTOWE DO SZLIFIEREK
3. CZĘŚCI ZAMIENNE DO AUTOMATÓW

Zachęcamy do nawiązania stałego kontaktu z naszymi branżystami, Łódź, ul. Więckowskiego 43/45.

Tel. 32-43-45, 32-38-14.

21/7

## Jedno danie Anny-Marii

Parę dni temu pani listonoszka z poczty na Zgierskiej przyniosła polecony. Patrząc znacząco, uśmiechając się domyślnie, pokiwała głową: — No, no, pani Anno-Mario, w takiej kopercie... Na pewno od wielbiciela.

## Salatka z ananasa czyli przepis na luksusową kobietę

Koperta była wyjątkowo ekskluzywna, jakby przysłana wprost z serialu „Dynastia”: srebrzysto-perłowa. I pachnąca jakby masumi, lecz bez nadawcy. W moim wieku nie ma się już wielbicieli. Co zawiera? Może zawiadomienie o spadku? Mało to razy przewracając się bezsennością w obawie przed nowym dniem do przeżycia, w którym nie wiadomo, co jeszcze i o ile zdorożeje, wyobrażałam sobie, że otrzymuję spadek z dalekiej Australii czy Nowej Zelandii? Ale stempel na wytwornej kopercie był miejscowy.

„Droga Anno-Mario! Niniejszym chciałabym zaprosić cię na garden party u siebie, godzina siedemnasta, strój wieczorowy”.

I podpis.  
Czytam po raz drugi, i trzeci, a za piątym dochodzę do jednego możliwego wniosku, że moja znajoma koleżanka jeszcze ze studiów, po prostu zwariowała.

Po pierwsze — spotkałyśmy się dokładnie przed tygodniem, w piątek, na Bałuckim Rynku, przy stercie przecenionych kalafiorów: trzy sztuki a pięćset złotych. Po drugie — ona ze swoją trójką dorastających chłopaków i mężem na rencie inwalidzkiej, klepie tak ordynarną biedę, że moje życie w porównaniu z jej — wydać się może nie tylko usłane różami bez kolców, lecz superluksusowe. chociaż nie mam ani magnetofonu, ani kolorowego telewizora. Ona nawet w okresie komunizmu pożywała przed pierwszym, a ileż to razy zdarzało się jej budrysom odbierać lekcje przy świeczkach — ponieważ z powodu dylematu: kupić synowi buty czy zapłacić za światło, wybierała to pierwsze i elektrowoła odcinała prąd. W porównaniu ze mną wygląda na moją babkę, gdyż odkał pamiątkom, zawsze — poza normalną pracą na etacie — dorabiała chałupniczo, odwatając na swoim rozklekotanym „luczniku” proste szycie. Jedynie jej mężowi przysługiwał przywilej wlekania w chorobę zwaną depresją, z powodu której od lat przebywa na rencie. Ona zawsze musiała być silna, zdrowa i na chodzie. Nawet przyjąć imiennowych nie wyprawiała nigdy. A tu nagle: garden party w M-2 ze ślepa kuchnią i „strój wieczorowy”?

Ręka mi drżała, gdy wykrecałam numer instytucji, w której pracuję. Odebrała telefon: — Ach, tak tak! Anno-Mario! Wydadaję garden party, ponieważ wszystko w moim życiu się odmieniło. Bardzo cię proszę — przyjdź! Będzie surówka z ananasa i martini.

— Słuchaj — mówię — czy ty

aby na pewno dobrze się czujesz?

Śmiech po drugiej stronie słuchawki jest wyniosły: — Nigdy się lepiej nie czułam, Anno-Mario! Dostałam spadek! Równie sześćset dwadzieścia siedem tysięcy dolarów!

To, co zawyło mi w uszach, nie było sygnałem karetki reanimacyjnej. To wyla nagle, niebywała zazdrość. Nigdy nie pomyślałabym o sobie, że ryją we mnie takie podłe świnię. Jezus! Sześćset dwadzieścia i siedem tysięcy dolarów! To już nie luksus, to niewyobrażalne bogactwo, za które można wszystko, choćby wille z basenem, futro z szynszylki i czerwone Ferrari. Ludzie, to ja w swoich bezsensownych mirażach nie sięgałam wyżej marnych dziesięciu tysięcy dolarów, i wydawało mi się, że opędziłabym nimi wszystkie swoje doraźne i życiowe potrzeby, łącząc z kolorowym telewizorkiem, magnetofonem i nawet komputerem „Atari” dla syna! O, cholera! O, do diabła!

Odpicowałam się na to „garden party” i z gada w gardle polazłam.

Chałupa mojej znajomej nędzna, ohydne płytki pecefau w brązowym kolorze przykryte szmacianym chodniczkiem z „Cepeli”, meble też ohydne, każdy od sasa; ale ona — co to znaczy szmal — jak nie ta sama: kiecka jakaś niesamowita, w uszach perły jak młyńskie koła, na szyi też takie; ręce jeszcze co prawda nieodpuchnięte od wielogodzinnego szycia na „luczniku”, ale za to z manicure, a te zmarchy pod oczami to teraz dla niej pestka: operacja kosmetyczna i masaże w domu.

— A gdzie mąż? Gdzie twoi chłopcy?

Uśmiecha się wyniosłe jak na milionerkę przystało: — Mąż, rozumiesz, puścił psychiatryczny szpital w Kochanówce; a chłopców wystawiłam do kina.

Siadamy do stołu. Salatka jest z prawdziwego ananasa i cztery brzoskwinie na talerzyku, i to cholerne martini, jak trzeba — z lodem i cytryną. Salatka staje mi kością w gardle, brzoskwinia smakuje piotunem, jedynie martini już pierwszym haustem szumi w głowie. A moja znajoma z błyszczącym okiem opowiada, że odtąd będzie luksusową kobietą żyjącą w luksusie: najpierw rzuci wymówieniem w twarz szefowi, potem do zsyppu wyrzuci „lucznika”, następnie kupi sobie futro, i pojedzie natychmiast z chłopcami na Wyspy Bahama. Żadnej kaszany więcej, ani pasztetowy, kotletów mielonych z przewagą bulki. — Przecież jeszcze nie jestem sta-

ra, Anno-Mario, dopiero mam pięćdziesiąt lat.

Nie, tego się nie da po prostu słuchać. Ale trzeba coś powiedzieć. Pytam o przepis na tę salatkę czy surówkę z ananasa.

— Po prostu kupujesz ananas, kroisz, dodajesz wydrylowane czereśnie, posypujesz cukrem pudrem, wyciskasz sok z cytryny i przybierasz ćwiartkami pomarańczy. To wszystko, Anno-Mario.

Owo: „po prostu kupujesz ananas” dobija mnie ostatecznie. Wstaję. Mówię: — dziękuję ci uprzejmie, muszę już iść.

— Ależ, Anno-Mario! Nawet nie wypiliśmy po pełnym drinku!

Do diabła z twoimi drinkami, myślę. Idę i już!

Wtedy moja znajoma opuszcza głowę. Niżej i niżej. Błysk światła na obrzynie niczym młyńskie koło perle koleczyka.

Perle? Perla prawdziwa, jak znam z literatury, nie błyszczy, lecz ledwo-ledwo zaznacza się delikatną różowością. Chude ramionka sterczą jak wieszaki obciągnięte tą strojną kiecką. Strojną? Co ze mną? Gdzie ja miałam oczy? Przecież to ta sama i jedyna kiecka od lat, w której moja znajoma pojawia się u mnie na urodzinach! Więc tylko ta surówka z ananasa, cztery brzoskwinie i martini są prawdziwe. Myślę: przez ile nocy teraz będziesz musiała to odrabiać prostym szyciem?

Siadam. Zakładam nogę na nogę ruchem osoby, posiadającej konto w Banku S.A. Mówię:

— A wiesz, ja również oczekuję na spadek. Więc może, gdy go otrzymam, wybierzemy się razem na te twoje Wyspy Bahama? A potem wpadniemy do Acapulco?

ANNA-MARIA

## Niedyskrecje

Brytyjski tygodnik „The Sunday Correspondent” ustalił listę 10 najbogatszych ludzi we Wschodniej Europie. Pierwsze miejsce zajmuje sanator (od sanacja) gospodarz „realnego socjalizmu” — Mieczysław Wilczek. Na drugim miejscu jest Erno Rubik — wynalazca „kostki Rubika”, na trzecim — Lech Grobelny, który znikł ze Wschodniej Europy, a niektórzy podejrzewają, że „wykreślił ten numer”, aby nie płacić 250 procent od pieniędzy jemu powierzonych. Na siódmym miejscu jest czeski piosenkarz — Karel Gott. Piąte i dziesiąte miejsce zajmują Polacy: Henryk Majteli i Jerzy Piskorz-Nalecki.

## PEGROTOUR

POSIADA JESZCZE

WOLNE MIEJSCA

- ▲ WZASY POPYTOWE: Bułgaria, Węgry, Czechosłowacja, Związek Radziecki, Austria, Jugosławia, Grecja, Turcja, Cypr oraz w kraju.
- ▲ KOLONIE i OBOZY DLA MŁODZIEŻY: w kraju, na Węgrzech i w Czechosłowacji.
- ▲ WYCIEZKI: Węgry, Austria, Berlin Zach., Związek Radziecki, Turcja, Egipt, Tunezja, Singapur i Malezja, Tajlandia, Izrael.
- ▲ KURSY jęz. angielskiego w Londynie i jęz. niemieckiego w Berlinie Zach.
- ▲ POSREDNICTWO paszportowe, wizowanie RFN na wyjazdy indywidualne.

INFORMACJA I SPRZEDAŻ:

„PEGROTOUR” SA, Łódź, ul. Kilińskiego 59/63

(przy hotelu „Centrum”)  
tel. 33-21-51, tlx 884115

o r a z

Kutno, ul. ZWM 3, tel. 35-509.

SERDECZNIE ZAPRASZAMY!

10/7

**D**o dwudziestego roku wychowywana z wielką starannością przez swą matkę, nie posiadała jakichkolwiek złych skłonności. Ponieważ nie myślała nigdy o posłubieniu mężczyzny, jej krewni postanowili — jak to się zwykle zdarza — że powinna wyjść za mąż. Matka zgadzała się z nimi i orzekła: — Już czas ci stanąć na ślubnym kobiercu.

Gdy się to rozeszło, zjawili się wkrótce odpowiedni kawaler, któremu chętnie powiedziała: „Tak”. Po ślubie, gdy skończył się dzień, młodą parę odesłano do łóżka małżeńskiego. Matka, wzięwszy córkę na stronę, szepnęła jej: — Dziecko, posłuchaj mej rady. Bardzo dobrze wiem, co cię teraz spotka. Wszystko, co będzie z tobą robił twój mąż, przyjmij cierpliwie i z dobrą miną, znies to bez odrazy. Wreszcie sama poczujesz przy tym zadowolenie i rozkosz. Niezależnie od tego, co będzie czynił, poddaj się wszystkiemu, bo inaczej rano zmyje ci głowę.

Po zaprowadzeniu córki do łóżka, teściowa udała się do młodego, dorodnego męża i także posłała go do łóżnicy. Ten dobrał się do swej pięknej młodej żony rozpoczynając z nią zabawę, która światu zapewnia ciagłość. Kiedy wpajał jej prawidła gry i pilnie zajęty był pracą, jej ta rzecz wydawała się nieco śmieszna, zapytała więc łagodnie: — Powiedz jednak, cóż to takiego jest, co tu razem robimy? Nie mogę rzec, że mi nieprzyjemnie leżeć tu z wami, jednak wszystko zdaje mi się nieco osobliwe.

— W ten sposób posyła się do piekła diabła, któremu ta kara sprawia cierpienie i mekę.

Tak więc mąż wystrychnął na dudka swą piękną, młodą żonę. Nie miała bowiem najmniejszego pojęcia o miłosnej zabawie, służącej jej zresztą wspaniale. Świeżo zaślubiony mąż był dzielny zuchem, bywałym i wspaniałomyślnym, toteż poczynił z nią sobie zgodnie z wszystkimi zasadami sztuki sprawując jej, w pełnym miłości zapale, rozkosz i radość. Z prostodusznym zdumieniem zauważyła więc:

— Skoro to diabłu szkodzi i można go w ten sposób posyłać do piekła, to nie będę się ośczedzać. I uroczą piękność mówiła dalej: — Chcę wam pomóc najlepiej jak tylko potrafię w wypędzaniu diabła do otchłani piekielnej. Jestem przekonana, że dziś jeszcze całkowicie unicestwimy zdradzieckiego łotra. Chodź tylko i czyni ze mną, co zechcesz. Będę robiła wszystko z chęcią, skoro to grozi diabłu śmiercią. Dalej, pošlijmy go do piekła.

**P**rzy tym zbożnym dziele ci dwoje zażywało ponadto różnorodnej radości, wypędzali więc diabła do kresu wytrzymałości. Wreszcie jednak byli całkiem wyczerpani i legli, nie mogąc złapać tchu. Gdy tę gorliwą pracę przyszło przerwać, młoda niewiasta czuła się tak rozkosznie jak nigdy w życiu, powiedziała więc, a serce przepelniała jej wdzięczność: — Jeszcze nigdy wypędzanie diabła nie podobalo mi się tak bardzo. Teraz słuchaj i drzyj, zły duchu: skoro wiem, jak cię pokonać, to już cię będę umiała po-

śląć do otchłani piekielnej. — To ponownie popechnęło ku niej młodego małżonka. Objął swą czarującą żonę, przyciskał swój policzek do jej rozkwitłego policzka i ucałował jej czerwone usta bez przesady jakiejś trzydziści razy. Prosiła jednak, aby jej wyjaśnił co to znaczy: — Powiedz mi, dlaczego tak często przyciskasz swoje wargi do moich ust? Co to oznacza?

— Nazywają to miłością. Teraz powiedz mi jednak, co ci się podoba bardziej: miłość czy wypędzanie diabła?

się i wypędź go, tylko żywo i niezmordowanie.

**W**ywędzanie diabła przebiegało w pełnej jedności, wreszcie mocno do siebie przytuleni zapadli w pokrzepiającą drzemkę, póki ich nie oblało blaskiem jasne poranne słońce. Gdy za drzwiami dał się słyszeć niewieści głos, młoda żona przestraszyła się. Potrzęsła męża pogrążonego jeszcze w głębokim śnie. Za progiem stała jednak pełna niecierpliwości matka panny młodej, a ponieważ

uczestowano z nowożeńcami. Wszystkim się zajęłam.

Podano więc chleb, wino — a ponieważ w domu rodziców panny młodej niczego nie brakowało — także w obfitości gotowane i pieczone mięso. Jedzono z dużym apetytem i panował dobry nastrój. Matka popatrzyła na zamyślną od niedawna córkę i spytała: — No, jak ci poszło?

— Ach, matko, zaraz dzisiejszej nocy wypędziliśmy z mężem trzykrotnie diabła do piekła. — I opowiedziała o wszystkich cierpieniach, których zaznała nocą. Goście nie potrafili powstrzymać śmiechu, mrugano do siebie z zadowoleniem i dokazywano. Jednak młody mąż był całkiem czerwony ze wstydu. Matka krzyknęła na córkę, aby natychmiast umilkła, gdyż podobne historie nie przystoją ustom młodej żony.

Ta jednak powiedziała ze zdziwieniem: — Ależ matko, temu co się stało dziś w nocy i dziś rano, sama jesteś winna. Moje sumienie jest czyste. Powiadam ci siostrzyczko — zwróciła się do siostry męża — że matka wczoraj wieczorem nieoczekiwanie przykazała mi, abym była we wszystkim uległa twemu bratu. Po tym pouczeniu zaprowadzono mnie do łóżka. Zapewniam, że się nie sprzeciwiałam i robiłam wszystko, czego tylko sobie życzył. Gdy zechciał, położyłam się. I naprawdę to wszystko zrobiłam. A skoro się już tego dobrze nauczyłam, stanowczo i chętnie chcę także pędzić diabła do piekła.

Wtedy nie wytrzymała również matka i powiedziała ze śmiechem: — Bądź cicho, moja córko. Chociaż masz słusność, to moja wina. — Na tym poniechano wymiany słów. Teraz jednak niewiasty usunęły z pokoju wszystkich mężczyzn, a gdy znalazły się między sobą, rozpętała się istna burza pytań o to, co ma znaczyć to wypędzanie diabła. Należały na młodą żonę, by im opowiedziała, jak bardzo oboje mu dokuczali. Rzeka całkiem szczerze: — Najpierw chwycił mnie dwiema rękami za nogi i przycisnął mi kolana wysoko, aż do serca. Późem to trochę bolała. Powiem wam, że wypędzanie diabła z początku jest nieco przykre, potem jednak jest coraz rozkoszniej. Gdyby któraś z was zamierzała odbyć pokutę za swoje grzechy i zle uczynki, radzę wam szybko, aby wybrać polowanie na diabła. Zbawienie duszy osiąga się przecież rozmaitymi sposobami.

**A**kiedy wszedł posłaniec, który miał zaprowadzić błogłowy na poranną mszę, młoda żona stwierdziła mocno i stanowczo: — My z mężem zostajemy w domu. Musimy poświęcić czas na inne zbożne dzieła. — Odtąd, pokutując za swe grzechy, niezmordowanie i żarliwie pędzili diabła do piekła.

Przełożył:  
**KONRAD FREJDLICH**

Utwór ten powstał w XIV w. i wykazuje powinowactwo z nowelą Boccaccia „Diabeł i piekło” (Dekameron III, 10). Opracowanie: W. Spiewok.

## Wypędzanie diabła



### Niedyskrecje

**Włodzimierz Sokorski:**

— Stalin też mnie pytał: „Włodek, ty Wandu jebał?” Odpowiedziałem zgodnie z prawdą: „Niet. Ona dla mienia sliżskom balszaja”. Na to Stalin: „Ja toże niet, ja nie mog siebie pozwolił, no Berman jebał, Woroszyłow jebał, Mołotow jebał”. (W rozmowie ze Stanisławem Zawislińskim, „Trybuna”, 07.—08.07.1990).

**Andrzej Pasowski:**

— Służylem w wojsku i często chodziłem na ptarole wokół koszar. Lapałiśmy „lewych urlopowiczów”. Idziemy kiedyś wzdłuż siatki ogradzającej koszarę, przy siatce rosną rzadkie krzaki. Nagle kapral syczy szeptem:

— Panie podchorąży, panie podchorąży, niech pan patrzy, on ją dyma przez dziurę w siatce!  
I rzeczywiście. Ludzie mają pomysły. W każdej sytuacji dają sobie radę.

Piękna niewiasta pomyślała i powiedziała po chwili: — Poniechajmy lepiej tego pierwszego, aby tym gorliwiej czynić to drugie. W ten sposób możemy się w pełni skupić na zbożnym dziele wypędzania diabła zyskując zbawienie duszy. Matka i ksiądz wciąż mi opowiadają potworne rzeczy o straszliwej czelności piekielnej, wyrzekniemy się zatem miłości poświęciwszy się całkowicie zwalczaniu bezczennego ducha. — Przywierając kształtnymi, sprężystymi udami śnieżnobiałej barwy do męża, prosiła: — Teraz, mój zuchu, ruszaj do walki, popędź go do piekła. Świętym zaiste musiał być mąż, który znalazł ten sposób ratowania duszy. Odpowiada mi to bardziej od czytania psalterza. Dalej, nie pozwól mu nawet przez chwilę odetchnąć! W pokucie za swe grzechy wyrzekam się miłości. Wszelako diabeł musi być znów strącony na dno piekła. Ależ nie tak, najmilszy, przybli-

w w pokoju żadne się nie poruszyło, waliła w drzwi, póki jej nie otworzono. Wtedy powiedziała życzliwie: — Szczęść wam Boże, moje dzieci. Niech wam darzy Pan Bóg w konie, bydło, zboże i wino. Niech teraz i zawsze daję wam szczęśliwość i dobrobyt, a wreszcie miejsce w królestwie niebieskim. — Delikatnie wycofała się, pozwalając im się odziać. Następnie znów weszła, troskliwie wygładziła całkowicie rozczubanę łóżko, otworzyła skrzynię i wyjęła — jak jest przyjęte, szatę ze zwiewnego płótna, którą zawinęła w białą szubę. Przyniosła prócz tego wspaniałą płaszcz z czerwonej wełny; córka musiała go włożyć wraz z innymi częściami przyodziewku. Jest to strój młodej żony po nocy weselnej. Później, zwracając się do młodego małżonka, gorliwie rzekła: — Teraz siadajcie, drogie dzieci. Sprowadzę tu sąsiadów, bowiem wypada, by następnego ranka